Świat MŁODYCH



SIEMIŃSKI
czołowy kolarz polski zajął drugie miejsce w wyścigu Warszawa—Praga (do fotoreport. na str. 12)

STANISŁAW DYGAT: krąg istnienia

DZIŚ W NUMERZE:

POŁÓW PEREŁ. — OBIEKTYWEM PO ŚWIECIE. — DEREK KARTUN: TO JEST AMERYKA. — ST. KOWALEWSKI — PODRÓŻ DO SERCA PATAGONII. — MIRON BIAŁOSZEWSKI: CZY W STOŁECZNEJ A. S. P. narodzi się polski PICASSO? — „SŁUŻBA POLSCE" BUDUJE LEPSZE JUTRO. — CZŁOWIEK UJARZMIA PRZYRODĘ. — A. BRAUN: OBLICZE współczesnej liryki polskiej. — TRIUMF POLSKICH KÓŁ. SPORT. — TECHNIKA. — KINO. — TEATR. — KSIĄŻKA. — RADIO.

NUMER 64
CENA 25 zł
ROK III
23 maja 1948 r.

POŁÓW PEREŁ

TIME

OBOZY POPRAWCZE W USA

Przewodniczący komisji dla spraw robót poprawczych przy senacie, pan Johns, po zbadaniu tzw. obozu poprawczego „Parkman Penitentiary" oświadczył, że obóz ten stanowi wielką plantację bawełny, na której więźniowie pracują jak niewolnicy popędzani batem". Nazwał on straż więzienną „gorylami o obliczu ludzkim". Johns powiedział, że w czasie zbiorów bawełny straż popędza więźniów batem. Często straż bije więźniów batem za jakiekolwiek przewinienia.

Ce soir

CZERWONE NIEBEZPIECZEŃSTWO

W Detroit (USA) policja przeprowadziła rewizję wszystkich księgarń poszukując książek dla dzieci, które rzekomo miała mieć „silny ładunek komunistyczny". Następną rzecz jakiej należy się spodziewać będzie wydanie przez policję w Detroit, zakazu używania czerwonych farb do malowania i rozporządzenia, że dzieci muszą bawić się tylko lalkami o białym kolorze, gdyż w przeciwnym razie mogą uwierzyć w braterstwo ludzi bez względu na kolor skóry.

BORBA

WYŚCIG, W KTÓRYM NIE MA PRZEGRANYCH

[illegible]

POUFNE

Bezrobotni Monarchowie

[illegible]

Polska też ma swego pretendenta. Jest nim książę Potocki, paradujący po ulicach Oxfordu i Londynu w staromodnym kontuszu z karabelą u boku i podpisujący się Potocki, król Polski. Hrabia Potocki jest też głównym prorokiem nowego kultu boga-słońca.

TOM

NEW YORK Herald Tribune

PORADA DLA TRUMANA

[illegible]

REYNOLDS NEWS

[illegible]

КОМСОМОЛЬСКАЯ ПРАВДА

AMERYKAŃSKA NAUKA

[illegible]

regards

CIENIE HITLERA I MUSSOLINIEGO

[illegible]



REAKCJA ARABSKA: „I co ty na to?"



Czasy się zmieniają ale metody agresorów pozostają te same.

tvorba

[illegible]

LA VOCE DEL POPOLO

[illegible]

KOŃ BY SIĘ UŚMIAŁ



Paul Hoffman (administrator planu Marshalla): „Tylko w systemie kapitalistycznym robotnicy mogą znaleźć prawdziwą wolność"

Our Time

[illegible]

WPN World's Press News

JAK SIĘ SPRZEDAJE GAZETĘ?

[illegible]

Daily Mirror

„ZWYCIĘSTWA" CZANG KAI SZEKA

[illegible]

DAILY EXPRESS

JAK WYGLĄDA WŁAŚCIWIE POŻYCZKA MARSHALLA? CZY JAKO DUMNI BRYTYJCZYCY JESTEŚMY NAPRAWDĘ ZADOWOLENI, ŻE KRAJ NASZ STOI POKORNIE Z CZAPKĄ W RĘKU CZEKAJĄC NA TĘ „DOBROCZYNNOŚĆ" WRAZ Z HOLLYWOODZKIMI KICZAMI GUMĄ DO ŻUCIA I HISTORYJKAMI RYSUNKOWYMI DLA DZIECI? UPADABNIAMY SIĘ JUŻ NA ZBYT DO BLASZANEJ PUSZKI PRZYCZEPIONEJ DO PSIEGO OGONA USA.

ŚWIAT MŁODYCH
ROK III NR 64 DNIA 23 5. 48 r
Warszawa, Grażyny 8, tel. 405,32
PRENUMERATA
roczna . . . . 1.000,—
półroczna . . . . 520,—
kwartalna . . . . 270,—

ROZRUCHY W BOGOCIE



Marshall w towarzystwie dwóch wiceministrów amerykańskich: Normana Armoura i Williama D. Pauley, przybywa na konferencję panamerykańską do Bogoty stolicy Kolumbii. Celem konferencji panamerykańskiej miało być podporządkowanie republik południowo-amerykańskich i środkowo-amerykańskich, hegemonii Stanów Zjednoczonych. Jak świadczą uśmiechy na twarzach ministrów byli oni dobrej myśli.



Niespodziewana przeszkoda w urzeczywistnieniu planów amerykańskich była rewolta ludności Bogoty i innych miast Kolumbii przeciw kapitulacyjnej polityce rządu. Powstańcy wdarli się do sali obrad konferencji panamerykańskiej wołając „precz z imperializmem jankesów" i spalili wszystkie dokumenty z protokołu posiedzeń. Konferencja musiała zostać przerwana. Marshall schronił się w gmachu ambasady amerykańskiej.



[illegible] komunistycznych" ale nie był w stanie przed- [illegible] amerykańska podkreśliła, że nie trzeba szukać winowajców na drugiej półkuli. Jest powszechnie wiadomo jak ciężki jest los robotnika i chłopa w Kolumbii, którzy są bezlitośnie wyzyskiwani przez monopole amerykańskie i miejscowych feudałów.

PALESTYNA I O. N. Z.



Na specjalnym zgromadzeniu Organizacji Narodów Zjednoczonych, które zostało zwołane przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię nie zapadły żadne nowe decyzje w sprawie Palestyny. Poprzednia decyzja ONZ o podziale Palestyny została utrzymana w mocy. Intrygi anglo-amerykańskich imperialistów raz jeszcze zostały unicestwione.



W obronie swych interesów na Środkowym Wschodzie anglo-amerykańscy imperialiści zainscenizowali inwazję Palestyny przez wojska Legionu Arabskiego. Jednakże minister Bevin oświadczył w Izbie Gmin, że subwencja brytyjska dla Legionu Arabskiego w wysokości 2 milionów funtów szterlingów rocznie będzie nadal wypłacana królowi Transjordanii. Na zdjęciu atak Arabów na górę Castel.

STRAJKI W U. S. A.



Fala strajków ogarnia Stany Zjednoczone. Liczba strajkujących wynosi już ponad 800.000. Oczekuje się, że wkrótce przekroczy półtora miliona i obejmie także przemysł stalowy i górników. Na zdjęciu strajkujące pracownice centrali telefonicznej w Nowym Jorku. Powodem strajku jest wzrost kosztów utrzymania, podczas gdy płace są nadal na poziomie z 1947 roku.



W całych Stanach Zjednoczonych mają miejsce demonstracje przeciw ograniczeniu wolności robotników przez antyzwiązkową ustawę Taft-Hartley. Na zdjęciu fragment demonstracji w Chicago Łańcuch symbolizuje zamianę robotników amerykańskich w nowoczesnych niewolników.

SPRAWIEDLIWOŚĆ po ANGIELSKU



W Trieście aresztowano znów działacza robotniczego. Stanie on przed sądem za próbę organizowania związków zawodowych. Władze amerykańskie w Trieście obawiają się wszelkich prób zjednoczenia robotników w organizacjach zawodowych lub politycznych. Pozwalają natomiast bezkarnie na ożywienie działalności byłych organizacji faszystowskich.



Przed sądem w Goeggingen w Bawarii stanęła żona Hessa, zastępcy byłego Fuehrera. Sąd denacyfikacyjny nakazał zwolnienie jej z obozu internowanych, ukarał grzywną 2000 marek i wypuścił na wolność zrehabilitowaną.

KAIR i KALKUTTA



Kairo było widownią strajku policji. W czasie strajku doszło do ostrych starć między strajkującą policją a wojskiem. Kilka osób zostało zabitych, kilkadziesiąt rannych. W całym mieście były pożary.



Kalkutta też była widownią strajku. Strajkujący [illegible] na stopniach urzędów nie pozwalając na żadną pracę wewnątrz. Przyczyną strajku było zdymisjonowanie 208 urzędników podejrzanych o sympatie komunistyczne.

POLICJA PRZECIW ROBOTNIKOM



W Japonii utworzona została po raz pierwszy od czasu zakończenia wojny policja. Użyta została ona też natychmiast dla stłumienia „rozruchów" w Kobe, gdzie podczas wojny sprowadzeni przymusowo do pracy w Japonii koreańczycy domagali się prawa używania swojego ojczystego języka.



W Indiach także rząd musiał wzmocnić swoje siły policyjne w związku z rosnącym niezadowoleniem mas pracujących. Po raz pierwszy w historii Dalekiego Wschodu do policji przyjęto kobiety. Na zdjęciu ćwiczenie w strzelaniu z broni maszynowej.

TO JEST AMERYKA!..

DEREK KARTUN

Rezydencja prezydenta Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie to miły dla oka budynek o kolonialnej architekturze. Powszechnie nazywany jest Białym Domem, gdyż po nieudanej próbie podpalenia tego budynku przez wojska angielskie w 1814 roku, musiano pomalować go na biały kolor. W miarę upływu lat i wzrastającej centralizacji rządu, Pensylwania Avenue prowadząca z Białego Domu do Kapitolu, zabudowana została szeregiem budynków mieszczących różne ministerstwa i instytucje federalne. Aleja ta mająca około półtora kilometra długości jest główną arterią życia politycznego w Stanach Zjednoczonych. Kapitol i Biały Dom to dwa główne punkty tej arterii, w których ogniskują się wszystkie aktualne problemy polityczne i gospodarcze. Bardzo często między Kapitolem i Białym Domem istnieją różnice zdań i wówczas Pensylwania Avenue jest terenem zaciekłych walk politycznych.

Prezydent Stanów Zjednoczonych posiada wyjątkowo wielką władzę. Podobnie jak prezydent w każdym innym kraju jest on głową państwa, ale ponadto w Stanach Zjednoczonych prezydent jest także premierem rządu. Ma on prawo do sprzeciwienia się każdej ustawie, która nie otrzymała większości dwóch trzecich głosów w senacie. Także fakt, że prezydent wybiera członków rządu bez poważniejszego liczenia się z opinią swojej partii, zaostrza możliwość konfliktu między nim a Kongresem. W wielu wypadkach też partia, z ramienia której prezydent został wybrany, nie posiada większości głosów w Kongresie, gdyż prezydent jest wybierany w głosowaniu powszechnym. Wówczas Administracja zostaje całkowicie sparaliżowana, jak miało to np. miejsce w roku 1933, i pociągnęło za sobą tragiczne skutki dla najbiedniejszych warstw ludności amerykańskiej.

Każdy Amerykanin uważa, że prezydent Stanów Zjednoczonych jest najważniejszą osobistością na świecie. Jest jednakże rzeczą bardziej wskazaną przyjrzeć się bliżej otoczeniu prezydenta, niż samemu Trumanowi. Uczynimy to nie dlatego, że sama osobistość Trumana nie jest interesująca, wprost przeciwnie, Truman jako typowy małomiasteczkowy polityk, daje wiele do myślenia o ciasnocie i korupcji życia politycznego w USA. Ale bardziej niż małomiasteczkowymi politykami, jesteśmy zainteresowani tym, kto rządzi Stanami Zjednoczonymi, i dlatego skierujemy swoją uwagę na ludzi, którzy stanowią najściślejsze grono prezydenta, bez których rady Truman nie poweźmie żadnej ważniejszej decyzji. Przez nich to przemawiają wielkie banki i kartele, koncerny i trusty, które finansują partie polityczne i opłacają członków Kongresu, których własnością są dzienniki i stacje radiowe.

GEORGE ALLEN

Do najbliższego grona prezydenta należy przede wszystkim George Allen, były dyrektor jednego z największych hoteli w Nowym Jorku. Allen jest ulubieńcem Trumana z dwóch powodów: jest jego najlepszym partnerem w grze w pokera i najlepszym humorystą w otoczeniu prezydenta. (Drugim humorystą i poważną konkurencją dla Allena jest Harry Vaughan, którego Truman mianował niedawno koordynatorem dla Spraw Zdemobilizowanych Żołnierzy).

Allen został odkryty przez Harry Hopkinsa, ministra administracji Trumana. Z polecenia Hopkinsa Allen został osobistym przedstawicielem wielkiego finansisty z Wall Street, Victora Emanuela oraz dyrektorem szeregu innych towarzystw finansowych. W czasie kampanii wyborczej Allen towarzyszył Trumanowi w jego podróżach i jako wynagrodzenie otrzymał po wyborze Trumana na prezydenta, stanowisko naczelnego dyrektora Towarzystwa Finansowego dla spraw Odbudowy. Na tym stanowisku Allen zadzierzgnął szybko przyjacielskie stosunki z wielkimi bankierami i przemysłowcami i w sprawach finansowych stał się wyrocznią dla Trumana.

CLARK CLIFFORD

Innym człowiekiem, którego wpływ na Trumana jest przemożny, to Clark Clifford, bogaty adwokat z St. Louis, rodzinnego miasta Trumana, który w



Ameryka od tyłu?
Widok na pomnik Wolności od strony lądu. Ta fotografia obrazuje lepiej niż każda inna, brud i nędzę przedmieść Nowego Jorku, siedziby najbogatszych na świecie monopoli.

roku 1945 zajął stanowisko prawnego doradcy prezydenta. Clifford jest dobrze ułożony i karierę swoją zawdzięcza ocaleniu Trumana na jednej z konferencji prasowych przed wypowiedzeniem jakiejś niedorzeczności. W tym czasie, a był to rok 1946, prestiż Trumana na skutek jego wypowiedzi zmalał w Stanach Zjednoczonych prawie do zera. Clifford został nieoficjalnym szefem sztabu w Białym Domu.

Obecnie Clifford nie tylko pisze przemówienia dla Trumana, ale wyznacza jego audiencje i kształtuje jego politykę w najważniejszych sprawach polityki wewnętrznej. Przykładem tego była sprawa strajku górników amerykańskich. W tej sprawie wiadomo było że Truman zamierzał przychylić się do słusznych żądań górników, ale następnie pod wpływem Clifforda zmienił swoje stanowisko i zwalczał strajk górników z pomocą policji i żołnierzy.

ADMIRAŁ LEAHY

Trzecią osobistością, która wywiera decydujący wpływ na politykę Białego Domu, to Admirał Leahy. Leahy, który jest szefem sztabu wojskowego prezydenta, miał pewien wpływ i na politykę Roosevelta, ale Roosevelt był zbyt wielką indywidualnością aby całkowicie mu ulec. Truman natomiast ulega całkowicie wpływom admirała.

Leahy jest starym wojskowym, który nienawidzi jak sam twierdzi liberałów, związkowców i prawie każdego kto nie nosi munduru. Jest on znany ze swej nienawiści do Związku Radzieckiego i wszelkich ruchów postępowych. Leahy sam się mianował wrogiem nr 1 „Nowego Ładu" Roosevelta i tak długo intrygował, aż dopiął swego. Dziś w administracji Trumana nie ma ani jednego działacza znanego ze swych sympatii dla Roosevelta i „Nowego Ładu". Głównie jednak wpływ Leahyego tłumaczy się tym, że admirał jest oficjalnym rzecznikiem kół wojskowych.

Zdaniem admirała nie ma lepszych ludzi do rządzenia światem niż wojskowi. W wypadku gdyby ich zabrakło, to Leahy twierdzi, że ostatecznie mogliby to zrobić także i przemysłowcy. Dlatego też Leahy skoncentrował swoje wysiłki na usadowieniu w administracji Trumana jak największej ilości wojskowych, a w wojsku jak najwięcej przemysłowców i finansistów. I w tym wypadku wysiłki admirała Leahy zostały uwieńczone świetnym powodzeniem. Dziś na czele Departamentu Stanu stoi generał George C. Marshall, były szef sztabu armii amerykańskiej. Prócz Marshalla, w Departamencie Stanu są między innymi: generał Beddel Smith — ambasador w Moskwie, admirał Kirk — ambasador w Brukseli, generał Holcomb — minister pełnomocny w Południowej Afryce oraz generał Hines — ambasador w Panamie.

Przenikanie do Departamentu Stanu przedstawicieli kół wojskowych jest tak wielkie, że obecnie jako siła społeczna, równa się klika wojskowa przedstawicielstwu wielkiego kapitału. Są też oczywiście punkty styczne, w których obie te grupy łączą się, jak np. w wypadku generała Drapera, podsekretarza stanu dla spraw armii, który z zawodu jest bankierem i do dziś piastuje stanowisko wiceprzewodniczącego wielkiego domu bankowego „Dillon Read and Co" oraz wielu towarzystw finansowych i przemysłowych, lub Kanadora Vardamana, doradcy morskiego prezydenta, który jest bankierem i pochodzi także z rodzinnego miasta Trumana St. Louis w stanie Missouri.

Charakterystycznym przykładem tych stosunków jest kariera Roberta H. Lovetta. Lovett jest z zawodu bankierem, który wstąpił do wojska. Jego kariera, od roku 1940 jest ściśle związana z kliką wojskową. Jako podsekretarz stanu dla spraw wojny, był on zaufanym człowiekiem generała Marshalla i jednym z nielicznych osób cywilnych pozostających w stałym kontakcie z kierowniczymi kołami wojskowymi. Gdy Marshall został sekretarzem Departamentu Stanu, zabrał do siebie Lovetta, ponieważ wiedział, że będzie w nim miał pewnego sprzymierzeńca przeciw stałym pracownikom tego ministerstwa, którzy z niechęcią patrzyli na infiltracje wojskowych do Departamentu Stanu.

Obecnie Lovett jest pierwszym zastępcą Marshalla i jednocześnie dyrektorem National City, Banku w Nowym Jorku oraz dyrektorem wielu towarzystw kolejowych, ubezpieczeniowych i finansowych.

Typ „Byznesmena — Generała — Polityka", odzwierciadla jeden z najbardziej charakterystycznych aspektów rozwoju amerykańskiego życia politycznego — szybko wzmacniający się Sojusz między armią i Wall Street. Ten sojusz jest jedynym jaki można oczekiwać w kraju dominowanym przez przemysłowców i finansistów, którzy pragną rozszerzyć swe panowanie poza naturalne granice swego kraju.

Amerykanie, którzy ze wszystkich 48 Stanów przyjeżdżają masowo do Waszyngtonu, aby ujrzeć demokrację amerykańską „przy pracy", widzą, że rezultaty tej pracy zbiera nie lud amerykański, ale wielkie banki i monopole. Widzą oni generałów walczących o więcej bomb i admirałów walczących o więcej baz morskich i nowe lotniskowce. Widzą, jak ta ohydna groteska demokracji jest grana w imię ludu amerykańskiego. Czasem nazywa się to „American Way of Life", amerykańskim sposobem życia, czasem „Free Enterprise", — wolnym handlem, czasem po prostu „American Democracy" — czyli amerykańskim stylem demokracji. Jednakże jakąkolwiek nazwę nosi ta groteska, fakt pozostaje ten sam. W imieniu narodu amerykańskiego rządzą generałowie i bankierzy, którzy przejęli wszystkie prawie stanowiska w Administracji i opanowali Kongres.

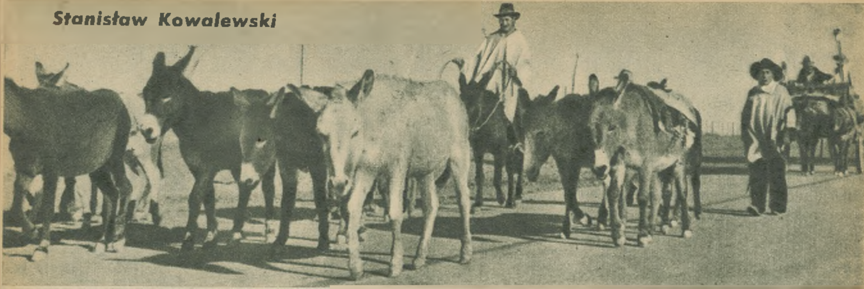
Ten stan rzeczy napewno zadziwia Amerykanów, którzy nie przypominają sobie, aby w wyborach, które są tak częstym i ulubionym zjawiskiem w amerykańskiej demokracji, głosowali kiedykolwiek za bankierami lub generałami.

(c. d. n.)



Robert A. Lovett, nowy typ, jaki wyhodowała „demokracja" amerykańska — typ „BYZNESMANA-GENERAŁA-POLITYKA".

Stanisław Kowalewski



PODRÓŻ DO SERCA PATAGONII

Do Patagonii wybierałem się już od szeregu lat. Mimo wielokrotnych serdecznych zaproszeń naszych współziomków, popularnych pośród argentyńskiej Polonii pod nazwą „nafciarzy z Comodoro", podróż moja do najdalej na południe wysuniętego cyplu amerykańskiego lądu przez szereg lat nie mogła dojść do skutku. Dopiero w pierwszych latach wojny tę frapującą każdego globtrottera" podróż do legendarnej Patagonii i Ziemi Ognistej [illegible] w stanie zrealizować

Dziś już napewno wyruszymy. Przed domem stoi odpowiednio do tak długodystansowej podróży wyekwipowany samochód. Bo istotnie, wybieranie się w podróż o ogólnej trasie 7 tysięcy kilometrów z których większość dróg to patagońskie „picadas" (dróżki wycięte w skarłowaciałym lesie zarastającym większość Patagonii) względnie — ostre serpentyny górskiego łańcucha And, opasającego zachodnie granice Argentyny, — samochodem, to naprawdę donkiszoteria. A w dodatku starym „Fordem" z roku 1928!? Zapewniano mnie jednak, że na patagońskie drogi podobny wóz jest najodpowiedniejszy. Posiada on wysokie podwozie oraz odporny motor.

Za stosunkowo niewysoką cenę udało mi się nabyć podobnego „Forda" z wielkiego domu towarowego. Wysłużył się przy rozwózce towarów pośród buenosaireńskiej klienteli i zamieniono go na nowocześniejszy. Mechanik orzekł, że jest jeszcze w dobrej formie. W dodatku z karoserią pokrytą cynkową blachą. We wnętrzu furgonu pomieściłem na trzy miesiące obliczone dla mnie i szofera wiktuały. Również przygotowany został na zastąpienie nam hotelu. W zabezpieczającej nas od deszczu i robactwa budzie można we dwójkę dość wygodnie się przespać.

Na podróż staraliśmy zaopatrzyć się we wszystko, co może się okazać potrzebne na „na wszelki wypadek". W szczególności w okolicach, skąd do najbliższego ludzkiego osiedla nierzadko trzeba przejechać kilkaset kilometrów. Za jedyną słabą stronę mych „patagońskich" przygotowań uważałem wybór szofera. Poczciwy do szpiku kości współziomek o pogodnym usposobieniu i silnych mięśniach. Dobry i pewny kompan podróży. Tylko... świeżo upieczony szofer-mechanik, którego cała praktyka szoferska ograniczała się do zaledwie kilka tygodni temu ukończonej szkoły szoferskiej. Stary „Ford" i młody szofer-mechanik. Jak na 7 tys. km podróż po pustynnej Patagonii, to niezbyt zachęcające. Powodzenie naszej podróży w znacznym stopniu musiałem oprzeć na argentyńskim „buena suerte" (powodzenia) i naszym polskim „jakoś tam będzie".

WYJAZD

Z Buenos Aires wyruszyliśmy „sko-[illegible] świt" upalnego [illegible] (m. luty w Argentynie to jeden z najgorętszym miesięcy letnich). Jeszcze raz miałem możność przekonania się że Buenos Aires to jedno z największych terytorialnie miast w świecie. Dwadzieścia kilka kilometrów do rogatek miasta. Później jeszcze około czterdzieści kilometrów podmiejskich miejscowości i... nareszcie na przestrzennej argentyńskiej [illegible]

Droga prowadziła poprzez całą długość najbogatszej, bo najżyźniejszej i najgęściej zaludnionej prowincji Buenos Aires. Stale na południe. Na dobrych asfaltowych drogach, przecinających większą część prowincji, na dystansie kilkuset kilome[illegible] Buenos Aires nasz „Ford" wyciągał swą maksymalną szybkość. Pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. W dniu tym zamierzaliśmy dojechać do położonego nad brzegami Atlantyku słynnego portu zbożowego — Bahia Blanca. Wykorzystać „cywilizacyjne" drogi i przeskoczyć 700 kilometrów.

„Pampa argentina"! Tylokrotnie opiewana w tangach argentyńskich.





Obszerna równina prowincji Buenos Aires przestrzenią dorównywująca całemu obszarowi Polski. Bezleśna. Zielone pastwiska i uprawne pola. W większości swej ogołocone, bo już po żniwach najważniejszych ziemiopłodów: pszenicy i kukurydzy. Na pniu stał jeszcze słonecznik i gdzie niegdzie len.

Argentyńska pampa różni się znacznie od naszej polnej szachownicy. W prowincji Buenos Aires nie ma prawie zupełnie drobnych gospodarstw. Cała prowincja to własność 200 rodzin argentyńskiej „oligarchii". To słynni „estancieros", posiadacze nie tysięcy, lecz dziesiątek tysięcy hektarów, obliczający swe posiadłości nie na hektary jeno na „leguas" (1 „legua" — 5 tysięcy hektarów). To właściciele dziesiątek, niekiedy i setek tysięcy bydła przez rok okrągły przebywającego pod gołym niebem. Dokładnej jego ilości nie określi nie tylko hula-[illegible] jego „capatazes" (namiastka naszego b. folwarcznego ekonoma), względnie „peones" (parobcy-fornale). Argentyńskie folwarki, to wielka szopa, postawiona pośrodku pola. Służy ona zarówno za mieszkanie dla „peonów" i ich rodzin, jako też za przechowalnie nawskroś nowoczesnych mechanicznych maszyn rolniczych. A obok szopy — „corralon" (ogrodzenie z belek, do którego zgania się bydło, przeznaczone na sprzedaż dla „frigorificos" (rzeźnie-mrażalnie), względn[illegible] do wypalania znaków rozpoznawczych „estanciera". I wreszcie wiatrak studzienny z rezerwuarem cynkowym do wody, dokąd w wypadkach suszy przyciąga bydło z pola do wodopoju. Bez stodół stajen ni obór.

A „dwór argentyński! To wspaniały pałac lub (czasy kolonialne przypominająca rezydencja) wybudowana pośród angielskiego parku, ze sztucznym laskiem eukaliptusów, placem tenisowym, basenem do kąpieli i... garażem dla „Buick'ów lub „Lincoln'ów". A obok — oficyna dla licznej służby (swego rodzaju arystokracji pośród nędznych i często głodem przymierających „peonów", zamieszkujących na czterech kołkach oparte i słomą pokryte „rancho").

Na argentyńskiej pampie nie zobaczysz również naszych gęstych ścieżek granicznych, ale za to widzisz druty kolczaste, ciągnące się wzdłuż obu stron dróg i odgradzające wielkie połacie pola. Każdy rolnik, każdy „estanciero" w tej formie posiada wymierzone swoje posiadłości ziemskie. Jeszcze do niedawna na rubieżach argentyńskiego terytorium (w Chaco i Patagonii), „tereny bezpańskie" uznawane były jako własność tego, który zdołał ogrodzić je drutami. Posiadana suma [illegible]tu decydowała o wysokości „nabytych" hektarów przez nowego właściciela.

Przebyliśmy już większą część przewidzianego w planie pierwszego etapu podróży. „Ford" spisuje się bez zarzutu. Stada bydła rogatego na pastwiskach, ścierniska pszeniczne oraz wspaniałe olbrzymie dywany żółtego kwiecia „girasolu" niczym taśma filmowa przewija się przed naszymi oczyma. A gdzie niegdzie nędzne „rancho", rzadziej — „estancia". Azul — typowe argentyńskie miasto powiatowe podzielone na bloki kwadratowe jednopiętrowych domów o powierzchni 10 tys. m. kw., każdy blok w kolorze żółtawo-białym i symetrycznymi ulicami, biegnącymi z północy na południe lub ze wschodu na zachód. Zatrzymujemy się dla posilenia siebie i wytrwałego „Forda".

Spacerujące na północnym firmamencie słońce silnie nachyliło się ku zachodowi. Na tej szerokości geograficznej nie znane są piękne polskie zmierzchy ani cudowne świty. Ciemność ogarnia świat w kilkanaście minut po zachodzie słońca. Do Bahia Blanca tego samego dnia nie dobrniemy. Ryzykowne na początku podróży zbytnie przeszlenie naszego „Forda". Pięćset kilkadziesiąt kilometrów jak na pierwszy dzień dostatecznie. Podjeżdżamy pod miasteczko Tres Arroyos (m. „Trzech Strumyków"). Postanawiamy przenocować na stacji benzynowej popularnego w Argentynie „A. C. A." („Automobil Club Argentino"). Posiada ona pokoje gościnne dla turystów. Będzie to prawdopodobnie nasz ostatni „kulturalny" nocleg.

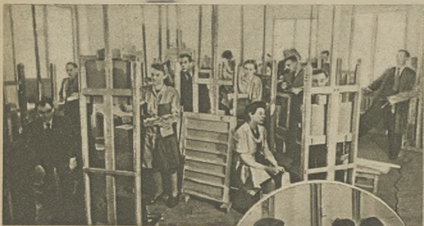
DOJEŻDŻAMY DO PIERWSZEGO ETAPU PODRÓŻY

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po czterech godzinach jazdy i nasycaniu wzroku tym samym pejzażem spod stóp naszych wyłoniło się m. Bahia Blanca. Położone w kotlinie nad zatoką oddaloną o 7 km

Dokończenie na str. 13

MIRON BIAŁOSZEWSKI

Czy w stołecznej ASP narodzi się polski Picasso?



Pracownia ma[illegible]a może na[illegible]snocie, [illegible] tu 40 stalug.



Młodzi artyści-malarze studiują z równym zapałem rysunek. Na zdjęciu widać akt chłopięcy. W głębi model — obok i bliżej rysunki. Na pierwszym planie, odwrócona „tyłem do czytelników" Irena Apcio, pogrążona w „szale twórczym".



(W kole): prof. rzeźby rektor ASP, Strynkiewicz przy korekcie. Jego uczniowie: Tadeusz Antoszczuk i Adam Roman pilnie słuchają, jakie wady posiadają ich „głowy".

M[illegible] ma-[illegible] mi palce o fartuch, pochyla się nad [illegible] na cebulę... Chwilami — na cebuli [illegible] par oczu. Ce-[illegible] pieniędzy na utrzymanie.

Ale wszystko jest niczym w zestawieniu z ciasnotą Bratniaka ASP. Mieści się on w pojedynczym pokoju, w jakim normalnie mieszka jedna osoba. Przy rozdziale płótna trzeba stać w drzwiach i na korytarzu. „Phi" — grafik Adam Perzyk wydyma wargi, widocznie materiał mu się nie podoba. Perzyk zresztą jest aktorem w Eksperymentalnym Teatrze Młodych Artystów i Naukowców. Nie można więc wierzyć jego minie.



Akademia rozćwiartowana



Sztuka rzeźbiarska jest bardziej skomplikowana, niż wydaje się laikom. W pracowni rzeźbiarskiej ASP studentka Strynkiewiczowa robi z drzewa, żelaza i drutu tzw. rusztowanie, na którym dopiero skonstruuje z gliny, akt męski. Inaczej glina nie miałaby się czego „trzymać". To rusztowanie stanowi jakby szkielet przyszłej rzeźby.

Praca na „życie" zabiera im [illegible]

[illegible]

torna, w [illegible] miejsca zasmu[illegible]e szafa. Ale szafa też jest potrzebna.

We wczesnych godzinach popołudniowych studenci „walą na dół" do ciasnej stołówki, ustawiają się w długi rząd i potem każdy z nich uwija się z jedzeniem, jak może, aby ustąpić miejsca drugiemu. Nieraz i zupa na kogoś się wyleje. W takiej ciasnocie nie ma mowy, aby mogli jeść wszyscy na raz.

[illegible] najciaśniejsza [illegible] tkacka. Studiu[illegible] osób ni[illegible] ścić w [illegible] się tam [illegible]

[illegible] wa[illegible] nad [illegible] tem. [illegible]

Jak [illegible] wać. [illegible] je rylcem[illegible] sposób w[illegible] która przy [illegible] re[illegible]

[illegible]

jednak, że pod złotą farbą znajduje się inna złota farba o odmiennym odcieniu, a pod tym jeszcze inny złoty odcień. I dopiero poprzez 3 warstwy doskrobano się do nieba o kolorze niebieskim. Ten kolor właśnie nadał swemu dziełu autor. Złote farby nałożyli późniejsi „pacykarze", którym zapewne wydały się one właściwsze od niebieskich.

Docieranie do takiej najstarszej i najwłaściwszej farby jest rzeczą niezwykle trudną, subtelną i wymaga-[illegible]

Obrazy prześwietla się, podobnie jak ludzkie płuca, aparatem Roentgena, aby zbadać składniki i jakość farb, upewnić się czy dzieło jest oryginalne.

[illegible]

SŁUŻBA POLSCE BUDUJE LEPSZE JUTRO



W łódzkim pałacyku, który był niegdyś siedzibą fabrykanta Pilchala, mieści się obecnie kurs zastępców dowódców kompanii „Służby Polsce", zorganizowany przez Wojewódzki Ośrodek Szkoleniowy Z. W. M. Kurs zgromadził 50 słuchaczy, którzy już niebawem obejmują komendę nad rekrutami. Jak widzimy, będą z nich dobrzy przywódcy.



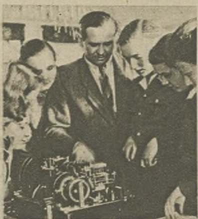
W całej Polsce prace nad przygotowywaniem kadr organizacyjnych „Służby Polsce" są w pełnym toku. Tym razem — Kraków, który nie trudno poznać po wieżach katedry wawelskiej. Młodzi ludzie na pierwszym planie zostać mają dowódcami plutonów S. P., wpierw jednak, na zakończenie przeszkolenia, przejść muszą przez sito egzaminów.



Dziewczęta nie pozostają w tyle. W Justynowie, na terenie województwa łódzkiego, otwarto obóz dla przodownic gminnych Przysposobienia Rolniczo-Wojskowego, który podlega organizacji „Służba Polsce". Przeszło 100 dziewcząt, które przybyły na obóz, chwali sobie przyjemne życie obozowe i piękną pogodę która dopomaga w pracy.



Uczestniczki obozu w Justynowie przechodzą równocześnie przeszkolenie wojskowe i zawodowe. Na ćwiczeniach w lesie szybko schodzi czas w upalne przedpołudnie. Obiad smakuje potem jeszcze lepiej, niż zwykle. 100 młodych dziewcząt, po ukończeniu kursu, rozjedzie się po odległych gminach, by prowadzić dalej pracę wychowawczą.



Zadaniem „Służby Polsce" jest dostarczyć krajowi dzielnych pracowników, o wysokich kwalifikacjach fachowych, pomóc im w wyborze pożytecznego i dobrego zawodu. Tak naprzykład w ramach działalności tej organizacji uruchomiono w Warszawie kurs pisania na dalekopisach. Wszystkie pisma polskie posługują się nimi. Ciekawa praca, prawda?



A junaczki warszawskie, uczennice Gimnazjum Handlowego, pracują zawzięcie nad odgruzowaniem Warszawy. Po wielu kłopotach z klasówkami, wypracowaniami i egzaminami praca przy łopacie jest inną formą służby Polsce. Tym razem porządkowany jest odcinek ulicy Myśliwieckiej. Dzięki pracy młodych Warszawa będzie znowu piękna.



Pierwszomajowe Święto Pracy było w tym roku również wielką rewią sił oragnizacji „Służba Polsce". Na terenie całego kraju dziesiątki i setki tysięcy młodych wybijało twardo rytm nowych czasów, których młodzież jest aktywnym współtwórcą. Ten fragment pierwszomajowej manifestacji — to ulica Miodowa w Warszawie.



Pustynię ruin, która była niegdyś północną dzielnicą Warszawy, przetnie nowoczesna arteria, łącząca dwa przeciwległe krańce stolicy. Nowa ta ulica będzie ośrodkiem odbudowy najbardziej zniszczonych terenów Warszawy, niejako zadatkiem ich pięknej przyszłości. Grupa Junaków, która właśnie odjeżdża do pracy, przydzielona jest do budowy tej trasy.



Na dworcu Gdynia—Orłowo odbyło się powitanie transportu junaków, przybyłych z województwa łódzkiego. Wielu z pośród tych młodych ludzi nigdy w życiu nie widziało morza. Teraz mają tu spędzić całe dwa miesiące — dwa letnie miesiące nad morzem! Junacy zatrudnieni będą przy budowie autostrad Gdynia—Reda i Orłowo—Sopoty, oraz przy odbudowie Gdańska.



Przybyszów z okolic Łodzi wita pięknie urządzony obóz, rozłożony pośród nadbrzeżnego lasu na Kępie Redłowskiej. Znajdzie tu pomieszczenie 1500 chłopców i to nie tylko z województwa łódzkiego. Młodzież całej Polski wyznaczyła sobie spotkanie nad brzegami Bałtyku: poznają się tam wzajemnie, zaprzyjaźnią i ramię w ramię budować będą przyszłość kraju.

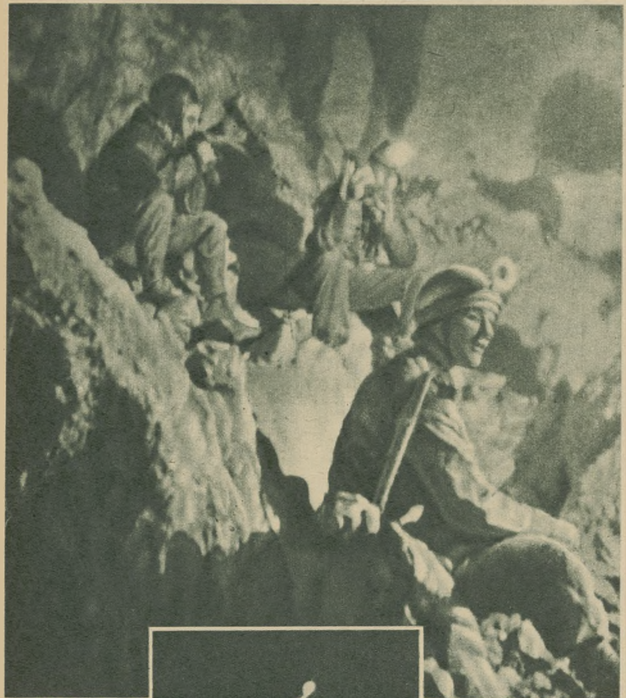
(Zdjęcia: Film Polski, WAF Kondracki, Janik, Kaczkowski, Kosycarz)

CZŁOWIEK UJARZMIA PRZYRODĘ

MŁODZI FRANCUSCY GEOLOGOWIE NA DNIE JASKIN CALADAIRE



KOŁOWROTKI Z LINAMI ZACZYNAJĄ PRACOWAĆ NAD OPUSZCZANIEM UCZESTNIKÓW EKSPEDYCJI





OBSZERNA STUDNIA NA 95 METRZE. STĄD NASTĘPUJE WŁAŚCIWY START WYPRAWY

OSTATNI RAZ SPÓJRZMY JESZCZE NA BŁĘKIT NIEBA, WIDOCZNY W ODDALAJĄCEJ SIĘ SZCZELINIE JASKINI

Gdy Jean Marty wynurzył się na koniec z czeluści jaskiń Caladaire, był wyczerpany do tego stopnia, że słaniał się na nogach i bełkotał głosem nałogowego pijaka.

Także cała paczka jego kolegów była u kresu sił. Lenain rozprawiał z nienaturalnym ożywieniem, ale ledwie się ruszał. Barone, który jest z usposobienia milczkiem, witany niby gwiazda filmowa, uśmiechał się tylko z wysiłkiem umorusany do niemożliwości gliną. Servel, który już sześć lat temu towarzyszył Marty'emu w jego pierwszej wędrówce, był tak zadyszany, że zapalony papieros gasł mu w ustach.

Silne ramiona widzów wsparły dzielnych badaczy. Lenain wypowiedział do mikrofonu kilka gorączkowych słów, wtórował mu Jean Marty. W chwilę później odprowadzono ich ostrożnie do położonego obok schroniska, niby zaszczytnie rannych w jakiejś chwalebnej batalii.

A jednak nie byli to ranni, nie byli to nawet żołnierze, choć prowadzili walkę, cięższą od frontowej.

Wszyscy ci młodzi ludzie byli speleologami, co w wolnym polskim przekładzie znaczyć może: „jaskiniowcami". Nie chodzi tu, rzecz jasna, o pierwotnych ludzi jaskiniowych — przeciwnie, w 24 godziny po wyczynie wszyscy młodzi uczeni przedzierzgnęli się napowrót w eleganckich europejczyków o nienagannie skrojonych marynarkach.

Speleolog jest to geolog, badacz ziemi, który poświęca się studiom nad jaskiniami, grotami, pieczarami i innymi ziemskimi rozpadlinami. Szuka tam zwykle odpowiedzi na pytanie, co zawiera wnętrze ziemi i w jakie obfituje minerały, oraz jak układa się tam, pod ziemią, system wodny.

Wycieczka wgłąb jaskiń Caladaire była już trzecią z kolei wyprawą odkrywczą.

Za pierwszym razem wybrali się tam dwaj tylko śmiałkowie Marty i Servel. Choć pieczary nie cieszyły się dobrą sławą, okoliczni mieszkańcy omijali je z zabobonną trwogą.

Nazwa Caladaire została im nadana z powodu dróżnika Caldaire, który przed przeszło stu laty został tu zamordowany przez swego syna i wrzucony do pieczar. Ta makabryczna historia, która krążyła w legendach ludowych, okazała się prawdziwą. W pierwszej sztolni jaskiń Marty odnalazł dobrze zachowany szkielet dorosłego mężczyzny. Ale od zbrodni minęło już wiele lat i duch zabitego dróżnika przestał już straszyć w czeluściach, skoro każda nowa wyprawa wydziera im coraz nowe tajemnice.

Pierwszym razem osiągnięto 220 metrów. Druga ekspedycja doszła na głębokość 313 metrów. Trzecia i ostatnia na razie, przygotowywana była niezwykle starannie.

Zanim ktokolwiek opuścił się w dół, zrzucono na poziom pierwszej kotliny półtorej tony materiału. Trzy kilometry drutu telefonu polowego ześlizgnęło się po wilgotnej ścianie i spadło w przepaść. Za nimi powędrowało 5 stacji telefonicznych. Na zewnątrz ustawiono dwa megafony, które podawały stale wiadomości z dołu.

Dwa kołowroty ręczne użyte były dla przetransportowania ludzi. Studnia wyjściowa, stanowiąca bazę wypadową ekspedycji, znajdowała się na głębokości 70 metrów. Niebawem założono bazę pomocniczą na głębokości 95 metrów. W momencie rozpoczęcia akcji obaj kierownicy: Lenain i Marty dysponowali 450 metrami drabinki składanej z duraluminium.



PRZEMAWIAJĄ PRZEZ RADIO LENAIN I MARTY, OBAJ BEZ TCHU, ALE DUMNI ZE ZWYCIĘSTWA

O godzinie 15,30 rozpoczęto akcję.

W jaskini panuje stała temperatura 11—12 stopni powyżej zera. Kilka osób towarzyszących wyprawie opuściło się na kilka godzin do pierwszej studni: wrażenia, które odnieśli, jako laicy, nie należały do najprzyjemniejszych. Lina kołowrotka, opasująca ciało krępuje ruchy nienawykłego turysty. Schodzenie po zimnych i oślizgłych ścianach powoduje od razu niemiły dreszczyk w plecach.

Potem nagle przepaść — i oto ciało podziemnego wędrowca buja swobodnie zawieszone w próżni nad sześćdziesięciu metrami pustki. Ściany martwe i obce zdają się być odlane z matowego szkła.

Niespodziewanie lina w górze poczyna się rozkręcać — ściany skalne wirują naokoło, potem coraz szybciej i szybciej. Absolutne ciemności rozświetla tylko nikłe światełko fotoforu, lampki umieszczonej na wierzchu górniczego hełmu. Po pewnym czasie wirowanie ścian ustaje. Ale radość wiszącego na linie nie trwa długo: skręcona lina odkręca się powoli w drugą stronę. Mimo wszystko lina tam, na górze, rozwija się stopniowo i zbawcza „podłoga" studni powoli się przybliża. Namotane zwoje liny co pewien czas zsuwają się niżej pod ciężarem podróżnego i ma się wtedy przez ułamek sekundy przykre wrażenie, że lina się urwała.

Nic podobnego jednak nie zachodzi i spocony z nadmiaru wrażeń turysta dotyka nogami skały. Dość obszerny pokój skalny pozwala wreszcie wyprostować się. Fotograf robi zdjęcia przy blasku wybuchającej magnezji, która wydziela duszący dym, szczególnie dokuczliwy w tym otoczeniu.

To wszystko dzieje się jednak na głębokości zaledwie 70 metrów i to stanowiących najłatwiejszy odcinek trasy. W tejże chwili nieco niżej, ze studni o poziomie 95 metrów pod powierzchnią, rozpoczyna się akcja.

Ze studni tej prowadzi ostro spadający w dół chodnik, wilgotny i ciasny, poryty co chwila zdradliwymi szczelinami, studniami i innymi pułapkami. W niektórych miejscach rozszerza się trochę i podwyższa — tam trzeba uważać najskrupulatniej, oznacza to bowiem nagromadzenie wody, która tworzy baseny, mierzące do 60 metrów głębokości. Bagatela! W innych znowu miejscach chodnik jest tak wąski, że trzeba się czołgać na brzuchu, lub przeciskać z trudem między dwoma kamiennymi blokami.

Po długich dziesięciu godzinach niebezpiecznej wędrówki osiągnięto głębokość 313 metrów. Było to dno głębokiej studni, nie posiadającej żadnego ujścia. Tutaj dotarła wyprawa sprzed roku i stąd zawróciła. Teraz kilka długich i cennych godzin strawiono na poszukiwaniach, które pozostały bez rezultatów.

Już mieli zrezygnować z dalszych poszukiwań, gdy Marty odkrył na wysokości mniej więcej 40 metrów powyżej dna studni obszerną szczelinę, przez którą dość łatwo mógł przecisnąć się człowiek. Szczelina prowadziła do długiej, gliniastej galerii, skierowanej pochyło na południe. Speleolodzy poszli tamtędy.

— Był to — opowiada Jean Marty — najgorszy dla mnie moment. Od bardzo dawna nic nie mieliśmy w ustach, brakowało wody do lamp i wody do picia, choć sam chodnik był bardzo wilgotny, co niezmiernie utrudniało posuwanie się naprzód. Od czasu do czasu jakieś prądy powietrzne przejmowały nas dotkliwym zimnem. Płomyki naszych lamp migotały, obawialiśmy się, że silniejszy powiew może je pogasić. Trzeba było przebywać studnię po studni. Krótko mówiąc byliśmy tak zmachani, że wziąłem małą kałużę za staw z wodą. Rozczarowanie, jakiego doznaliśmy z tego powodu, sprawiło, że popadliśmy w zupełną apatię.

A jednak nie były to tylko złudzenia. Wartki nurt podziemnej rzeki został na koniec odnaleziony. Doprowadził do niego mały strumyczek, sączący się cienką strużką wody między kamieniami. Już w pobliżu podziemnej rzeki skalne otoczenie się zmieniło: galeria się rozszerzyła w wielkie niby — komnaty, w których głos ludzki odbijał się cudacznym i ustokrotnionym echem.

Napotkane suche studnie liczyły od 30 do 50 metrów głębokości względnej. Ostatnia, do której dotarto, została rozświetlona wybuchem magnezji: wydaje się ogromna.

W tym jednak miejscu wyczerpało się posiadanych 450 metrów duraluminiowej drabinki. Zresztą i siły podziemnych wędrowców były również na wyczerpaniu. Trzeba było wracać.

Czterysta pięćdziesiąt metrów w dół maszerowano od niedzieli do czwartku. Tam, nad brzegiem ogromnej studni, we czwartek o północy, Lenain i Barone dają rozkaz odwrotu. 450 metrów do góry zostaje ustalonym już szlakiem przebyte w dwa dni. W sobotę po południu dzielni badacze wychodzą na koniec na powierzchnię ziemi, której nie oglądali od tygodnia.

Ale powrócą jeszcze do jaskiń Caladaire.







SZPARA W SKALE TAK WĄSKA, ŻE TRZEBA NIELADA ZDOLNOŚCI GIMNASTYCZNYCH, BY SIĘ PRZEDOSTAĆ

ŚWIATŁO MAGNEZJI OŚWIETLA DNO JEDNEJ Z NAJGŁĘBSZYCH STUDNI, KTÓRĄ FORSOWANO 7 GODZIN

NARESZCIE! PO SZEŚCIU DNIACH PODZIEMNYCH PODRÓŻY—NA ŚWIEŻYM POWIETRZU. BARONE WYŁANIA SIĘ SPOD ZIEMI

KRĄG ISTNIENIA

STANISŁAW DYGAT

Rys. W. Siemiątkowski

Ala lubiła zimę, białe płatki śniegu spadały na jej różową buzię, w parku lepiła bałwana i zdawało jej się czasem, że śród zaśnieżonych drzew i krzewów widzi tańczącą królowę zimę. Wieczorami siadywała w oknie, mieszkała przy Alei Róż, z okna jej pokoju widać było ślizgawkę w Dolinie Szwajcarskiej. Patrzała na wirujące po jasnej tafli lodu postacie, wsłuchiwała się w szum łyżew i walca „Łyżwiarze", granego przez orkiestrę 36 p. p., a kiedy była już nieco starsza myślała o chłopcach i dziewczętach, którzy trzymając się za ręce przybiegają z granatowego mroku ulicy Szopena, suną we dwięcznym tańcu łyżew po lodowisku i znów giną w mroku granatowej ulicy. Patrzała w niebo gwiaździste i jak ulica Szopena granatowe, patrzała długo myśląc o sobie i wielkim świecie. Lubiła tak patrzeć w nocne niebo, tę piękną dekorację do miejskich wieczorów domowych, dobrze jej było na świecie.

Kiedy pierwszy raz poszła na ślizgawkę, rzecz oczywista w towarzystwie ciotki, miała lat trzynaście. Szybko nauczyła się sztuki łyżwiarskiej; ale to nie było takie zabawne i czarodziejskie jak wydawało się z okna domu na Alei Róż. Była samotna, jeździła wciąż w kółko. To mogło się znudzić. Szczególnie, że przed lodowiskiem chodziła niby strażnik więzienny, nie spuszczając jej z oka ciotka.

Ładnie wyglądała Ala w niebieskiej szerokiej spódniczce, białym swetrze pod szyję i pensjonarskim pluszowym berecie, zsuniętym na ucho. Puszyste blond włosy spadały jej na ramiona. Policzki były różowe od mrozu jak lody poziomkowe, niebieskie oczy szkliły się załzawione trochę od wiatru i szybkiej jazdy. Spadła jej łyżwa, podeszła do ławki, żeby ją przypiąć, pochyliła się, włosy zafalowały nad kolanem.

— Czy mogę koleżance pomóc?

Ala zmartwiała i zastygła w pochyleniu. Nie śmiała podnieść oczu, nie wiedziała czy ma wołać pomocy, czy zacząć uciekać. Dopiero po chwili, ostrożnie i nieruchomo spojrzała kącikiem oka. Obok niej stał chłopak, trochę może od niej starszy, szczupły, wysoki, swawolny lok spadał mu na czoło, w ręku trzymał czapkę z państwowej szkoły, przebierał nogami stojąc na czubkach łyżew, jakby za chwilę miał się puścić w chyżą jazdę. Pochylił się i zajrzał jej wesoło w oczy. Przeszedł ją dziwny dreszcz, jakby ją tym wzrokiem przez jej oczy połechtał w serce.

— Niech się koleżanka nie boi. Ja to w mig zrobię.

Nie było w nim nic z ordynarnej zaczepki, a tylko wesoła, koleżeńska beztroska łyżwiarza. Ukląkł i zgrabnie zakręcił jej łyżwę.

— Mój klucz lepszy — pokazał — z korbką. Podrzucił go w górę i schował do kieszeni. — Przejedziemy się raz w kółeczko?

I zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wziął ją za ręce i pociągnął za sobą. Ali robiło się na przemian zimno i gorąco. Drżała lekko cała.

— Raz, dwa! Śmiało! O tak! Czy nie fajnie?

Roześmiał się radośnie, płynęli razem wdzięcznie po lodzie. Ala poczuła się nagle wesoła i beztroska. Odwróciła do niego głowę i uśmiechnęła się:

— Raz, dwa — powiedziała cicho.

— Ja najlepiej jeżdżę w klasie — rzekł chłopak — na imieniny dostanę hokejówy!

Ala potrząsnęła głową, odrzucając w tył włosy. Zrobiła to, bo myślała, że mu się ten gest spodoba.

— Raz, dwa, raz, dwa — mówiła i śmiała się.

Ujrzała nagle Dolinę Szwajcarską, zupełnie tak jak ją widziała z okna swego pokoju.

— Do jakiej budy kolega chodzi — spytała. Była pewna, że musi mu się podobać to, że mówi buda.



— Ala, Ala... — usłyszała nagle ostry jak sople lodu głos ciotki.

Przyhamowała raptownie i raptownie „Dolina" znów zrobiła się szara i nieżyczliwa. Chłopak okręcił się dokoła niej i zrobił „pistoleta".

— Co się stało?

— Nic, ciotka mnie woła.

— To koleżanka musi chodzić na ślizgawkę pod skrzydełkiem cioci? — zaśmiał się.

Zakręciły się jej łzy w oczach i miała mu ochotę dać w twarz za to co powiedział. I jeszcze za to, że przez to większego nabrał dla niej uroku.

— Dobra — powiedział — niech koleżanka dowie się czego chce ciotka i zaraz spotkamy się koło bariery przy orkiestrze.

Wspiął się na czubki łyżew i pomknął długim wyścigowym krokiem.

— Proszę zdjąć łyżwy, Alu i wracamy do domu — rzekła sucho ciotka. Więcej nie powiedziała nic. Wracały do domu milcząc. Ala tylko zanosiła się od płaczu. Ciotka wyniośle nie zwracała na to uwagi.

Położyła się spać bez kolacji, całą noc płakała, nikt jej nie niepokoił, bo tego dnia było w domu przyjęcie.

Więcej na ślizgawkę nie poszła i omijała okno, z którego było widać „Dolinę".

W domu odrabiała pilniej niż przed tym lekcje, a potem długo ćwiczyła na fortepianie ze szkoły fortepianowej Różyckiego, liczyła takt: raz, dwa, raz, dwa i popłakiwała od czasu do czasu. Rodzice mówili, że robi się poważna, że dojrzewa. Mieli rację.

Przyszła wiosna, stopniały śniegi, nie było już lodu, ani cierpkiego w powietrzu mrozu, który łechce nos i uszy. Alę przestał mroczyć niebezpieczny czas ślizgawki, zapomniała o chłopcu z państwowej szkoły. Z tej przygody pozostało jej tylko mocno ugruntowane, choć może nie sprecyzowane jawnie przeświadczenie o nieprzekraczalności kręgu jej istnienia: istnienia córki modnego i zamożnego adwokata, uczennicy pensji panny Plater, zamieszkującej sześciopokojowe mieszkanie w kamienicy przy Alei Róż. Została jej jeszcze nieszkodliwa, mijająca w ciągu dnia niby miły znajomy po drugiej stronie ulicy, tęsknota za istnieniem poza jej kręgiem. Istnieniem takim równie mistycznym i niewymiernym było widziane z okna jej mieszkania gwiaździste niebo w górze, jak w dole ślizgawka.

*

Niedługo po maturze Ala zaręczyła się z Wackiem, chłopcem z bardzo dobrego domu. Wacek był pierwszym chłopcem, który z nią zatańczył na lekcjach tańca i pierwszym, który jej podniósł chusteczkę gdy ta upadła, to zadecydowało, że się w nim zakochała.

Zaręczyny były bardzo uroczyste. Na początku wieczoru krewni matki Ali, która była ziemianką, z założonymi z tyłu rękami oglądali sztychy na ścianie, krewni jej ojca, który pochodził z rodziny łódzkich fabrykantów, ważyli w ręku srebrne bibeloty i inne cacka, ale zasadniczo te dwie grupy utworzyły jednolity front przeciw krewnym Wacka (Wacka ojciec miał fabrykę mydła w pierwszym pokoleniu), którzy stojąc pod ścianą nie wiedzieli co zrobić z rękoma, i odnosili się do nich z wykwintnie maskowaną pogardą i wytwornie hamowaną ironią. Wszelako po tym podano do stołu, jedzenie było wytworne, trunki wyborne i stare, a niektóre jeszcze z piwnic rodziny matki Ali, starsze niż historia rodu ojca Ali i ojca Wacka razem. Wznoszono toasty, jakiś patriota miał mowę, mówił o tym, że Polskę należy podciągnąć wzwyż i to koniecznie, bo inaczej będzie źle, wreszcie chciał nawiązać do uroczystości, zaplątał się nieco i wynikło coś takiego mniej więcej, że to podciąganie głównie polega na związku Ali z Wackiem a nawet na nim bazuje się mocarstwowość i ewentualnie Polska od morza do morza. Trunki lały się coraz obficiej, ktoś krzyknął „kochajmy się", ktoś inny „nie dajmy się", pewien pułkownik od ułanów wstał od stołu i z kieliszkiem szampana, podskakując przykucnięty śpiewał „żurawiejki"

„Lance do boju, szable w dłoń

Bolszewika goń, goń, goń..."

Potem towarzystwo przeszło do salonu na kawę, ktoś rozlał kawę na perski dywan, ktoś stłukł gipsowe popiersie Juliusza Cezara, które w ogóle nie wiadomo skąd się wzięło w salonie rodziców Ali, stary wuj jej matki z siwymi wąsami, były c. k. tajny radca dworu usiadł na kolanach ciotki Wacka, której ojciec miał wielki sklep kolonialny w Petersburgu i śpiewał: „Du bist meine ganze Welt", a ciotka była mimo wszystko trochę zdziwiona i sztywna, ojciec Ali śmiał się, zadowolony mówił co chwilę: „Nic nie szkodzi" i kazał raz po raz otwierać nowe butelki...

Ala czuła się oszołomiona, imponowało jej, że to wszystko na jej cześć i była przekonana, że jest bardzo szczęśliwa. Ktoś zaczął grać na fortepianie, dźwięki łagodne i kokietliwe, sentymentalne snuły się wśród świateł salonu, Biedermaierów, perskich dywanów, delikatnych makat, wieczornych pejzaży Ziomka i ciężkich kotar u okien. Wypiła jednym haustem kieliszek wina, zakręciło się jej miło w głowie i zapragnęła chwili samotności.

Wymknęła się do swego pokoju i nie zapalając światła stanęła przy oknie. Z salonu dochodził gwar, przez otwarte drzwi padało żółte ciepłe światło, za oknem ciemna plama: Dolina Szwajcarska leżała wiosną martwa. Wacek wszedł cicho do pokoju i stanął za Alą. Drgnęła, kiedy położył jej ręce na ramionach.

— Jesteś szczęśliwa? — spytał.

Nie odpowiedziała, tylko pokiwała parę razy głową. Odwrócił ją do siebie, nie czując, że lekko

się opiera i pocałował ją. Poczuł łzy na jej policzkach.

— Płacze ze szczęścia — pomyślał i bardzo był zadowolony.

Ślub odbył się jesienią, w Kościele św. Aleksandra, był bardzo uroczysty. Palmy i purpurowy dywan przez cały kościół, chór uczennic z pensji Plater. Parę płaczących ciotek, dużo kolegów i koleżanek, nie mało krewnych trochę gapiów, a nawet jeden minister świadomy zaszczytu jaki przynosi swoją obecnością.

Matka Ali zażyła w domu dużą ilość waleriany, co nie przeszkodziło jej ponowić dawki w zakrystji. Ojciec był sztywny, ludzie wrażliwi byli zdania, że coś udaje, ale nikt nie mógł stwierdzić co. Wuj Karol płakał obficie, wycierając hałaśliwie nos chustką w grochy. Nawet ludziom niewrażliwym łatwo było zauważyć że udaje.

Kiedy Ala stała przy ołtarzu, a ksiądz wykonywał nad nią i Wackiem magiczne passy i szeptał zaklęcia mocą których mieli odejść od ołtarza wieczyście połączeni duchem, a docześnie poniekąd i ciałem, doznała nagle błysku strachu przed odpowiedzialnością decyzji nieodwołalnych. Jakiś chłopak, smukły o ładnej, wesołej twarzy, w krawacie w duże grochy przeszedł przez kościół i zatrzymał się z boku przy ołtarzu, patrząc ciekawie na uroczystą parę. Ala zerkając oczami spotkała jego wzrok. Przechylił głowę z życzliwą zachętą. Zaczerwieniła się i opuściła wzrok, stuła księdza kiwała się jak wahadło zegara z kukłą w pokoju stołowym. Przypomniała sobie nagle z intensywną wyrazistością chłopca ze ślizgawki i nagle doznała chęci, aby natychmiast, tak jak stała w szarym kostiumie i na wysokich obcasach, uciec spod tego ołtarza, który w istocie nie był niczym innym, jak zegarem z kukłą w miejskim



wnętrzu i zbiec z chłopakiem w krawacie o dużych grochach w przestrzenie żywe i nieznane.

Świece kościelne migocąc igrały światłem i cieniem na twarzy Ali, organy jakby z nagłą decyzją wybuchnęły potężnie marszem weselnym Mendelsohna. Wacek patrzał spod oka na delikatny profil i drżące wargi Ali. W jej oczach zobaczył łzy.

— Płacze ze szczęścia — pomyślał — i bardzo był zadowolony.

ANDRZEJ BRAUN

OBLICZE WSPÓŁCZESNEJ LIRYKI POLSKIEJ

O współczesnej poezji polskiej słyszy się różne zdania. Jedni utrzymują, że jest to drzewo bez korzeni, żyjące tylko siłą przyzwyczajenia, zgóry przeznaczone na wymarcie w wieku techniki, urbanizacji, bomby atomowej, gazet, propagandy i dążności do masowego czytelnictwa — i ci mają trochę racji w pierwszym porównaniu: Współczesna poezja polska rzeczywiście niepotrzebnie odcina się od swych korzeni, tradycji, a to grozi jej śmiercią. Drudzy, komentując wielką epokę przemian rewolucyjnych, jaką przeżywamy w świecie — utrzymują, że teraz wreszcie poezja otrzymała warunki, aby stać się mową uniwersalną i mogła wyrażać wszystkie sprawy tego świata. Ci, zapatrzeni w wielkie wzory Majakowskiego domagają się rewolucji zmian w treści i formie oczekują poezji agitacyjnej, upolitycznionej „sprozaicznionej" czy „zdramatyzowanej". W swym zapale rewolucyjnym przeceniają często zakres i zadanie poezji, pragną uczynić z niej wszystko z wyjątkiem sztuki, która ma odwieczne zadanie wzruszać, mobilizować i budzić refleksje. Albo wprowadzając forsownie nowe zespoły treści zapominają wypracować dla nich odpowiednią formę, albo czynią jeszcze gorsze błędy, wojują o sprawy formalne, zapominając, że czas i epoka dawno już nie sprzyja jałowemu eksperymentatorstwu. Aby zrozumieć istotę i sposób wymowy współczesnej poezji polskiej i nie tylko polskiej, trzeba spojrzeć na nią tak, jak na wszystkie zjawiska kultury — historycznie.

Wiemy wszyscy, że poezja europejska a szczególnie nasza przeżywały swój rozkwit w dobie romantyzmu. Jedną z przyczyn ogólnych tego rozkwitu obok emancypacji i hegemonii świeżo ukształtowanej warstwy mieszczańskiej, która przez indywidualizm romantyczny manifestowała swą wiarę w jednostkę i jej swobodne możliwości rozwojowe (pomijam sprawę „weltschmertzu" pesymizmu romantycznego i niezgody ze światem — jest to zagadnienie skomplikowane i wymagające szerszego omówienia) — było to, że poezja romantyczna kładła głęboki nacisk na zagadnienia moralne i problematykę; do poezji podchodziło się od strony treści. Na przełomie wieku XIX i XX rozkład kapitalizmu i przerażenie mieszczanina sensem rzeczywistości, którego nie rozumiał, pchnęły go do jałowych poszukiwań formalnych, do ekseperymentów dla eksperymentu, sztuki dla sztuki. Poezja zerwała kontakt z życiem, przestała tłumaczyć świat; odizolowane grupy literackie, olśniewały się wzajemnie ekscentrycznością futuryzmów, dadaizmów, surrealizmów. Do poezji zaczęto podchodzić od strony formy i smaczków technicznych. Niemały wpływ na te zjawiska miał rodzący się faszyzm z jego kultem ruchu masy i maszyny. Rozkwit cywilizacji technicznej wtargnął do dawnej poezji nowym strumieniem zjawisk, niestety jakże błędnie rozumiany przez dekadenckich poetów drobnomieszczańskich. Próby nawiązywania do tych przebrzmiałych zjawisk przez niektórych poetów sądzących, że tu znajdą drogę do stworzenia nowej poezji dla szerokich mas ludowych, są wielkim nieporozumieniem historycznym. Hasło upolitycznienia poezji jest właściwie hasłem pustym, gdyż poezja była zawsze ideologicznym i politycznym wyrazem swej epoki i klasy, której światopogląd reprezentowali piszący wówczas poeci. Ale była za każdym razem inna, tak jak niepodobne do siebie są epoki historyczne, które ją za każdym razem kształtowały. Dlatego poezję współczesną, dającą słuszny polityczny wyraz naszego bogatego czasu mogą stworzyć tylko poeci żyjący współczesnością i dobrze rozumiejący, głęboko odczuwający jej problemy. Gdy przyjrzymy się współczesnej poezji zauważymy, że zerwała ona z pustym technicyzmem czasów międzywojennych. Nauczeni tragicznym doświadczeniem wojny potrzebujemy znów poezji-problemów, poezji-ludzkiej, poezji-moralnej, poruszającej zagadnienia powszechne, wielkie jak za czasów Mickiewicza. Oznacza to ponowne rozszerzenie nurtu semantycznego poezji, oznacza podejście znów od strony tematu, co, a nie jak i to tylko daje możliwość przemówienia współczesnej poezji do nowych czytelników z szerokich mas ludowych. Tę znamienną ewolucję obserwujemy u wielu czołowych polskich poetów współczesnych. Najbardziej charakterystycznym przykładem może być twórczość Adama Ważyka. Ten awangardzista i surrealista nasiąknięty w początkach swej twórczości silnymi wpływami Apollinaira, Moxa Jacoba (kochający się w słów żonglerce) już przed wojną zdradzał objawy znużenia taką poezją (z czego przykładem może być przeszło 15-letnia przerwa w jego pisarstwie). W czasie wojny Ważyk napisał tom pt. „Serce granatu", który składał się z szeregu pięknych, mocnych i jakże ogromnie mocnych w stosunku do jego twórczości wierszy patriotycznych i żołnierskich. Odejście od postawy dzikusa zdumiewającego się czarodziejstwem świata? pożegnanie zmyślonej Krainy Inkipo (piękny wiersz pod tym tytułem), zrobiło z Ważyka poetę uczuć powszechnych... nienawiści do faszyzmu i tęsknoty za odległą ojczyzną (wiersze pisane w Rosji), nieuchylającego się od współodpowiedzialności za wszystko co się dzieje dookoła niego, żyjącego prawdziwą nieurojoną rzeczywistością. „Wiązka powojenna", to chyba garść najpiękniejszych wierszy jakie napisano u nas po wojnie, prostych aż do zdumienia o szerokim oddechu moralnym, zamykającym w lapidarnych słowach najgłębszy sens współczesności, wiarę w budujący się ustrój społeczny i troskę o jego czystą linię. Często nazywa się błędnie ostatnią twórczość Ważyka nawrotem do jakiegoś klasycyzmu, jest to tylko nawrót do prostoty, zrozumiałości powszechnej i możliwości społecznej pisarza.

Równie poważnej ewolucji choć mniej widocznej uległ Mieczysław Jastrun. Ten poeta nigdy nie był oderwany od swego czasu, tyle, że w przedwojennej swej twórczości odczuwał go trochę metafizycznie w dawnych jego wierszach dźwięczała wspólna wielu poetom nuta katasrofizmu, lęku przed potwornościami, które nieuchronnie sprowadzał rodzący się faszyzm. Jastrun najmniej był zaskoczony grozą lat okupacji, ale też najgłębiej je przeżył i najpełniejszy dał im wyraz. Jego wojenny tomik „Godzina Strzeżona" i następny zbiór „Rzecz ludzka" to jeden wielki dokument czasów grozy. Jastrun w swych szlachetnych regularnych często pełnych wielkiego patosu strofach oskarża czas i ludzi, którzy stworzyli krematoria Oświęcimia — pisze „list w przestrzeń" jako jedyny świadek największego podeptania godności człowieka odwołując się do osądu przyszłych wieków. Jastrun najbardziej świadomie nawiązuje do wielkich tradycji poezji Mickiewicza, Słowackiego i Norwida. Ani na chwilę nie traci postawy wielkiego jaknajpełniej odczuwającego prawa historii — lirykę refleksyjnego poety zadumy. Stąd jest poetą raczej trudnym mimo regularnej, tradycyjnej formy swych wierszy — trudnym przez małą konkretność i plastyczność swej metafory operującej zarówno skojarzeniami zmysłowymi jak i grą abstrakcyjnych pojęć. Bardziej samodzielnymi drogami rozwija się twórczość Czesława Miłosza. Jest to poeta barokowych bogatych wizji, mało konkretny w dyscyplinie moralnej i logicznej — liryk subtelnych wzruszeń i dziecinnej miłości świata. Jego wojenna twórczość nosiła piętno przerażenia okrucieństwem rzeczywistości, chęcią znalezienia jakichś mitów szczęśliwości z pewnym odwróceniem się od odpowiedzialności poety za to co się dzieje. To przytłoczenie delikatnego poety brutalnością życia było poniekąd zrozumiałe. Miłosz potrafi jednak dać szereg przepięknych wierszy (np. „Campo di Fiori"). W swych marginesach lirycznych osiągał wzruszającą siłę wyrazu (np. „Świat, poema naiwne", „We wnętrzu róży"). Miłosz nie przecenia zakresu i możliwości poezji ostatnio jednak poszukuje nowych zakresów treści i nowych środków jej wyrazu. Charakterystycznym zjawiskiem jest poezja Pawła Hertza. Nie jest on wzorem godnym kontynuacji, ale doskonale ilustruje tezę, że poezja jest zawsze polityczna i odzwierciadla czy to w treści czy w formie środowisko które reprezentuje pisarz. Hertz subtelny znawca poezji francuskiej i rosyjskiej w swych barokowych i secesyjnych wierszach mówi więcej niż zamierzał w nich powiedzieć. Są one jednym wielkim wyznaniem wiary nawróconego mieszczanina dawnego syna rentierów rozkochanego w marmurach i ozdobach dawno umarłego świata, który afiszuje nowy świat intelektualnie, ale gustem, stylem; smakiem tkwi jeszcze w dawnych upodobaniach. „Urodzić się nie umiem, a umrzeć nie zdążę" — mówi poeta. Stąd chłód i oschłość tych stylizacji, mimo ich formalnej doskonałości. Do ciekawych zjawisk poezji polskiej należy twórczość Juliana Przybosia. Ten czołowy awangardzista i niestrudzony bojownik eksperymentu dał w zbiorze „Póki my żyjemy" kilka pięknych utworów będących chyba szczytem jego twórczości. Zawdzięcza to postawie moralnej zajętej w utworach, co pozwoliło na zachowanie w nich wszystkich zdobyczy awangardy, które tu równie dobrze jak regularne strofy Jastruna służą wyrażanej treści. Jeśli chodzi o innych poetów starszej generacji to poza Broniewskim, który szczyt swej prostej walczącej liryki osiągnął w poezji żołnierskiej z frontu „Bagnet na broń" i który nie potrzebował przechodzić tej złożonej ewolucji poetyckiej od czasów przedwojennych, bo jego stanowisko ideowe było zawsze jasne. Trochę inaczej wygląda sprawa z poezją najmłodszą, rozwijającą się już po wojnie, a powstałą często w mrokach okupacji. Stanowisko ideowe młodych poetów jest naogół wyraźniejsze, natomiast gorzej przedstawia się sprawa wypracowania odpowiedniej formy, tym bardziej, że ich związek z tradycją jest dużo luźniejszy. Naogół ulegają oni pokusom eksperymentatorskim, a przebrzmiałych dziś (jak to już wskazałem na początku) kierunków awan-[illegible] próbują preparować poezję dla mas w dosłownym tego słowa znaczeniu, doprowadzając ją do prymitywizmu. Najciekawsze są próby Tadeusza Różewicza, który zaczynając od wzorów awangardy, szybko uwolnił się od jej więzów i znalazł własny wyraz czystego o wielkiej skali liryka, trochę prozaizującego, ale zawsze oszczędnego i celnego w wyrazie. Ciekawa, choć bardzo nierówna jest praktyka Romana Bratnego z jego postulatami dramatyzacji, grozi mu jednak zbytnie zaplątanie się w chwytach formalnych, a czas i epoka nie po temu. Najprędzej dotrze do masowego czytelnika poezja Tadeusza Kubiaka, dość uboga treściowo i intelektualnie, ale szczera, zrozumiała i bardzo muzyczna. Młodzi poeci są przeważnie lewicowych poglądów, mają czynne i solidaryzujące się podejście do świata. Zdarzają się czasem próby ucieczki od rzeczywistości (np. Zygmunt Badek), ale są to rzadkie zjawiska, tak jak rzadkością jest wśród najmłodszych poeta bardziej zintelektualizowany jak np. Jerzy Miller. Znamienne jest też ograniczenie się całej współczesnej poezji do liryki, bardziej lub mniej opisowej. Inne rodzaje poezji zdają się nie mieć możliwości rozwoju.

Andrzej Braun

Na marginesie tragedii poznańskiej

Niedawno z Poznania nadeszła alarmująca depesza: młodzik „Warty" Hadyniak został znokautowany poczem nie odzyskawszy przytomności zmarł w szpitalu wskutek napływu krwi do mózgu.

Casus poznański jest drugim śmiertelnym wypadkiem, jaki zanotowaliśmy w historii polskiego boksu. Przed wojną zmarł po KO znany pięściarz Urbaniak.

Za oceanem wypadki śmiertelne na ringu zdarzają się częściej, nie tak jednak, by nie można zliczyć ich na palcach obu rąk. Jest to poniekąd wytłumaczone, w Ameryce bowiem uprawia się jedynie boks zawodowy, zawodnicy walczą w lżejszych niż nasi pięściarze rękawicach. Ponadto anulowano system poddawania zawodnika rzuceniem ręcznika przez trenera, sędzia ringowy zaś nie zawsze może stwierdzić stan przytomności boksera, nawet jeżeli ten kilkakrotnieląduje na deskach, a mimo to automatycznie niemal z przyzwyczajenia, podnosi się. W dodatku trzeba wiedzieć, że bokserzy amerykańscy uciekają się do walki faul, trafiają nieczysto i niezawsze zgodnie z obowiązującymi przepisami. Co gorsze, sędzia ringowy zazwyczaj wyznaczony z grona kliki bookmacherów „robiących" mecz, jeśli mu to jest na rękę, walki nie fair stara się nie widzieć.

Ostre głosy krytyki nielicznej części prasy nieutrzymywanej przez „królów" boksu zrobiły jednak swoje. Walkuje się ostatnio wprowadzenie w życie projektu, który przewiduje, że pięściarz znajdujący się w nockdownie (na deskach) pozostać tam musi bez względu na stan swej przytomności do 8, jeżeli zaś upadek powtórzy się trzykrotnie arbitrowi ringowemu przysługuje prawo przerwania walki.

Co innego gdy jest tzw. czyste KO. Istnieją pięściarze o szczególnie silnym uderzeniu, które zdolne jest zwalić odrazu z nóg przeciwnika na dłużej niż 10 sekund (zazwyczaj jednak nie ponad 15). Takich bombardierów mieliśmy kilku. Przed wojną najpotężniejszy cios w Polsce posiadał bodajże Kolczyński, co zaprowadziło go do mistrzostw Europy, w której mało było zawodników zdolnych przetrzymać z naszym mistrzem dłużej niż trzy rundy. Po wojnie diabelnie silnym ciosem poszczycić się może krakowian Matuła, nowokreowany mistrz Zagórski, Sztolc, a dalej Antkiewicz i Szymura.

W historii światowego boksu kroniki zachwycają się ciosem jednego z największych puncherów wszystkich czasów Stanleya Ketschel lub jeśli kto z nas woli Stanisława Kiecała, tak bowiem brzmiało prawdziwe nazwisko Amerykanina polskiego pochodzenia, który z racji złamania kilku szczęk przeciwnikom ochrzczony został mianem „Zabójcy z Michigan". Niemniejszy punch posiadał jego pogromca czarny John Johnson. Obecny mistrz świata Joe Louis przed wojną zdaniem fachowców posiadał najlepszą na świecie lewą rękę, podobnie jak Max Schmeling najlepszą prawą.

Tu, jak widać sprawą była prosta. Gdy jednak spotyka się dwóch przeciwników o znacznej różnicy klasy i jeden z nich posiada miażdżącą przewagę, wszystko leżeć powinno w rękach sędziego. Czy środki, które wprowadzić chcą Amerykanie okażą się radykalne? W Polsce też sędziowie mają prawo przerywania walki, a jednak doczekaliśmy się tragicznego wypadku, jakim jest właśnie śmierć szesnastoletniego chłopca w Poznaniu.

Tu nie należy podnosić larum, nie należy potępiać zgóry sportu bokserskiego, w którego założeniach nie leży masakra, trzeba zrewidować tylko gruntownie postępowanie tych wszystkich, którzy zawody organizują i którzy nad zdrowiem zawodników czuwają.

Jerzy Janicki



Nie mogę wydać żadnej decyzji, dopóki nie przeczytam co o tym sądzą pisma sportowe.

TRIUMF

w wielkim wyścigu kolarskim

WARSZAWA-PRAGA

Największy w historii kolarstwa polskiego wyścig na trasie Warszawa-Praga-Warszawa zakończył się wielkim sukcesem barw polskich.
Na trasie biegu Warszawa-Praga- Polacy zajęli w klasyfikacji drużynowej pierwsze miejsce z czasem 80;51,57 przed doskonałym zespołem Czechosłowacji i Jugosławii. Indywidualnie wyścig do Pragi wygrał Jugosłowianin Prosinek (czas 26,52,25), drugie zaś miejsce zajął Polak Siemiński jeden z największych bohaterów tego emocjonującego wyścigu.
W pierwszej dziesiątce z Polaków uplasowali się jeszcze Wojcik i Rzeźnicki. Pech nie pozwolił najlepszemu naszemu szosowcowi Napierale zająć dobrego miejsca. Przedwojenny „lew węgierskich szos" zadowolić się tym razem musiał pozycją 14-tą.



Na starcie do wyścigu Warszawa—Praga zjawili się liczni przedstawiciele Rządu. Na trybunie widzimy m. inn. min. Minca, min. Radkiewicza, min. Bermana, min. Grosza, wicepremiera Korzyckiego i gen. Spychalskiego.

Tuż przed honorowym startem do kolarzy przemawia jeden ze współorganizatorów prezes Czeskiej Unii Kolarskiej Johanik.



Kto wie co może przytrafić się na trasie. Na wszelki wypadek Napierała odbiera z rąk lekarza opatrunki osobiste. O wypadek nie trudno.





Bolesław Napierała kapitan pierwszego zespołu polskiego za chwilę poprowadzi kolarzy polskich w bój.



Poszli. Za rogatkami Warszawy kolarze mkną w zwartej grupie. Tylko Węgrzy pozostają w tyle. Za chwilę ta opieszałość będzie kosztować przymusowy postój przed kolejowym szlabanem.



Pierwszą gumę łapie Węgier. Trzeba pospieszyć się ze zmianą dętki aby nadążyć za czołówką. Na szczęście koledzy są solidarni.



[illegible] wita kolarzy. Gdzie są Polacy — zapytują się Rawiczanie. Niestety tu prowadzą zdecydowanie Czesi.



Pragnienie i głód dokuczają dotkliwie na trasie. W Tomaszowie zawodnicy mogą skorzystać z punktu odżywczego. Niemal w biegu porywają blaszane kubki i torebki z jedzeniem. Trzeba jechać dalej, tu każda sekunda jest cenna.



Czesi są zadowoleni. Na metę w Pradze pierwszy wpada ich faworyt Vesely. Wielbiciele kolarzy nie pozwalają mu odpocząć. Vesely jednak nie wygrał całego wyścigu, który stał się domeną Jugosławianina Prosinka.



W kole: Drugim był Polak Siemiński. Popularny warszawski kolarz dziękuje przed mikrofonem za serdeczne przyjęcie, jakie zgotowała im stolica Czechosłowacji

POLSKICH KÓŁ

„Głosu Ludu" i „Rudeho Prava"

PRAGA-WARSZAWA



Z Pragi kolarzy polskich prowadzi w biegu do Warszawy Józef Kapiak. Popularnemu „Szpagatowi" małżonka ambasadora polskiego w Pradze p. Olszewska życzy powodzenia w jeździe. „Szczęście przynosi mi zawsze pocałunek na starcie" — mówi Kapiak i za chwilę ku radości widzów p. Olszewska składa pocałunek na czole dzielnego kolarza.

Jednocześnie na trasie Praga-Warszawa rozgrywała się [illegible] walka. [illegible] Józef K[illegible] Kapiak przez dwa etapy [illegible] [illegible] został indywidualnym zwycięzcą wyścigu. [illegible] W.P. w Warszawie [illegible] Polak Wrzesiński, który [illegible] w ogólnej klasyfikacji. [illegible] Kapiak [illegible] Warszawa-Praga [illegible] Kapiak, Wrzesiński, Wygoda, Nowaczek [illegible]



Szczęście dopisywało w istocie Kapiakowi przez pierwsze trzy etapy, w których prowadził jako ogólny leader biegu jadąc w żółtej koszulce leadera.

Poniżej: W dodatku jeden z najlepiej jadących Polaków Wrzesiński łapie gumę. Polak szybko uporał się z defektem i na metę w Zlinie wpadł pierwszy.





PRZED ZLINEM DO GŁOSU DOCHODZĄ JEDNAK CZESI, BARDZIEJ OBEZNANI Z GÓRZYSTYM TERENEM.



Na dalszych kilometrach prowadził zdecydowanie Jugosłowianin Poredsky, który wygrał następny etap w Pardubicach. W nagrodę otrzymał od mieszkańców tego miasta piękny obraz.



W Brnie z kolei triumfuje Rumun Niculescu. Czesi mają nieco zmartwione miny, ale nagradzają zwycięzcę hucznymi brawami.



Na mecie stadionu W.F. w Warszawie pierwszym jest popularny kolarz drużyny Wrzesiński. Polak przybył na metę dosłownie o długość roweru przed Chvojką. Za nim wpadło prawie jednocześnie [illegible] kolarzy.



W ogólnej klasyfikacji zwyciężył jednak Jugosłowianin [illegible] prowadzący wyścigiem przez trzy ostatnie etapy. Na zdjęciu [illegible] po [illegible] biegu przed mikrofonem Polskiego Radia.



A oto zwycięska drużyna Polski, która w ogólnej klasyfikacji drużynowej zajęła pierwsze miejsce. Od lewej stoją: kpt. druż. Kapiak, Nowaczek, Wygoda, Wrzesiński i Sałyga.

ST. KOWALEWSKI

PODRÓŻ DO SERCA PATAGONII

dokończenie ze str. 5

od Atlantyku, stu tysięczne miasto jest dla Argentyny tym, czym Gdańsk lub Gdynia dla Polski. Przez port Bahia Blanca eksportowana jest lwia część argentyńskich ziemiopłodów.

W Bahia Blanca oraz jego portowym przedmieściu Ingeniero White żyje spora garść Polaków. Robotnicy portowi i kolejowi. Posiadają dwa towarzystwa. Emerytowany kolejarz, siedemdziesięcioletni Jan Prozorowicz jest nestorem tamtejszej Polonii. Prześladowany przez carską ochranę „przestępca" polityczny w roku 1905 zmuszony był emigrować do Argentyny. Członek dawnej Socjal-Demokracji po dziś dzień zachował wierność ideałom młodości. Jest on prawdziwym ambasadorem naszej ojczyzny w Argentynie. Jego skromny, ale kulturalnie prowadzony dom, sposób wychowania trojga dzieci (z których jeden inżynier-mechanik, drugi — lekarz, a córka lekarz-dentysta) i nieskazitelne morale podawane są jako przykład nie tylko pośród tamtejszej Polonii, ale również i tuziemców. Mimo jego „bolszewickiego" nastawienia nawet wrogowie polityczni czują do sędziwego proletariusza szacunek.

Znaliśmy się od dawna. Długo w noc rozprawialiśmy o toczącej się wojnie. Zgodnie doszliśmy do wniosków, że mimo chwilowych zwycięstw nazistowskich hord, Czerwona Armia okaże się ich pogromczynią. Podzieliłem się z nim ideą wydania demokratycznego pisma. Z entuzjazmem przyjął myśl wydania „Nowej Polski" i opodatkował się na fundusz wydawniczy pisma.

Następnych kilka dni odbyliśmy wspólnie kilka zebrań z naszymi demokratycznymi ziomkami i zdobyliśmy dla przyszłego pisma szereg nowych prenumeratorów.

Na czwarty dzień naszego pobytu opuszczaliśmy miasto i sympatycznych staruszków-gospodarzy. Serdecznie pożegnałem się z tow. Janem oraz jego dzielną małżonką, aktywnie współdziałającą w szeregu pro-alianckich komitetów pomocy.

DALEJ NA POŁUDNIE!

Na stacji benzynowej poddaliśmy naszego „Forda" gruntowniejszym oględzinom. Zapełniliśmy benzyną zapasowe rezerwuary. Przygotowaliśmy się na podróż po patagońskim bezludziu. Następny nasz etap — Carmen Buenos Aires i dystans zaledwie trzysta kilkadziesiąt kilometrów, ale ...drogi dziewicze.

Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów za Bahia nasz „Ford" wystawiony został na ciężką próbę: przebyć musiał piaszczyste wydmy Medanos. Okolica, położona nad zatoką San Antonio, słynna z dwóch powodów: 1. latarni morskiej umieszczonej na żelaznej wieży wysokości 59 m, oraz 2. z ruchomych wydm piaszczystych, silnymi południowymi wiatrami, „patagońskimi" zasypującymi drogi. Stąd nazwa „Medanos" (po polsku — wydmy piaszczyste).

Okazało się, że mechanik nie skłamał. Zarówno motor, jak i wysokie podwozie nie zawiodły. Po drodze minęliśmy dwie nowocześniejsze ciężarówki ze zbożem jadące do Bahia, które ugrzęzły po osie w sypkim piasku. Motor naszego „Fordziaka" nieco zadymił, ale zapory zwycięsko prze-[illegible]

Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów jazdy i pejzaż ulega radykalnej metamorfozie. skończyły się uprawne pola i zielone pastwiska. Miejsce ich zajęła pustynna równina porośnięta zwyrodniałym lasem w rodzaju naszych kolczastych krzaków. Gdzie niegdzie kępki suchej trawy, jedyny pokarm milionów owiec, zastępujących trzodę rogatą aż het! — po Ziemię Ognistą.

Co chwila na widnokręgu ukazywały się stadka szarych argentyńskich strusi (znacznie mniejszych i brzydszych od swych afrykańskich krewniaków; ale niemniej tchórzliwych oraz rodziny zgrabnych i miłych „guanacos" ze swymi młodymi zw. „chulengos", odmiana lam podobna do naszych dużych saren). Spod wozu wylatywały stada spłoszonych przepiórek. Pod wieczór coraz częściej zaczął się ukazywać nasz stary polski znajomek — szarak.

Byliśmy w głębi puszczy. Do serca Patagonii jeszcze sporo drogi.

Stanisław Kowalewski

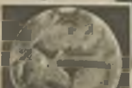
W następnym numerze ciąg dalszy pt.: „Los Rusos van ganar, porqué los Rusos son con los pobres" („Wygrają Rosjanie, ponieważ Rosjanie są po stronie biednych").

SENSACJA WE WSZECHŚWIECIE

Tajemnica „NOWYCH GWIAZD" wykryta

Niebo przestało być zagadką...

Zaczęło się od tego, że w roku pańskim 1572 wielki astronom ówczesny, Tycho de Brahe zaobserwował w gwiazdozbiorze Kasjopei nową, bardzo jasną gwiazdę. Tycho de Brahe, znający niebo, jak własną kieszeń, mógł wyliczyć na palcach wszystkie gwiazdy tego gwiazdozbioru, nawet najmniejsze, ledwie dostrzegalne. Tej gwiazdy jednak nigdy nie widział. Była ona w ogóle najjaśniejszą, świeciła sto razy silniej od największych z pozostałych, można ją było [illegible] przy pełnym świetle słonecznym.



A oto Mars, towarzysz Ziemi w systemie słonecznym, widziany przez silną lunetę. Tzw. kanały na Marsie narobiły swego czasu wiele wrzawy w świecie naukowym. Mars nie jest gwiazdą, gdyż świeci światłem odbitym.



[illegible] największego na świecie teleskopu, który [illegible] 4 lata. Pozwoli on przeniknąć [illegible] lat światła.

Co się z nią dalej działo — nie wiadomo, gdyż ludzkość nie znała jeszcze wynalazku lunety i dobry astronom musiał polegać jedynie na swym dobrym wzroku.

Od czasów Tycho de Brahe nauka poszła siedmiomilowymi krokami naprzód. Pozwoliło to nagromadzić wiele spostrzeżeń i materiału dowodowego do zagadnienia „nowych gwiazd". Gwiazd, które rzecz jasna nie są „nowe", tj. które nie wzięły się nagle z niczego, lecz gwiazd, które zrobiły karierę.

Każda z nowych gwiazd istniała przed zaobserwowaniem ogromnego powiększenia jej jasności, ale jako gwiazda mała, często gołym okiem niedostrzegalna. Nagle, skutkiem jakiegoś wybuchu o gigantycznych rozmiarach jej siła powiększała się o 25.000 razy, a nawet więcej jeszcze.

Takich nowych gwiazd pojawia się corocznie dość znaczna ilość. Obserwatoria całego świata notują ich ok. [illegible] rocznie. A przy tym obserwujemy tylko niektóre wypadki. W większości wypadków nowymi gwiazdami stają się gwiazdy małe, tak od nas oddalone, że krótkotrwały blask, przy którym możemy je dostrzec, jest nikły i nie zwraca uwagi uczonych, a czasem nawet nie może być uchwycony przez zdjęcia fotograficzne.

Pesymiści wszystkich krajów, łączcie się!

Kilkanaście lat temu znany astrofizyk Milne stworzył bardzo pesymistyczną teorię nowych gwiazd. Twierdził on mianowicie, że każda



Jeden z [illegible] teleskopów świata z Uniwersytetu w Kolumbia. Ponad nim widoczny rozsuwany dach obserwatorium

gwiazda, a więc i nasze słońce, musi w procesie swej ewolucji dojść do takiego krytycznego momentu, od którego dalsza jej egzystencja w dotychczasowej postaci przestaje być możliwa.

Dróżnik i powstanie nowej teorii.

Współczesna teoria nowych gwiazd jest przede wszystkim zasługą nauki radzieckiej, mogącej się poszczycić takimi [illegible] jak Kyrrew, Ambarcumian, Wo-[illegible]w, Mustel, czy Gordeladze. [illegible] przez czas dłuższy obserwacją tzw gwiazd zmiennych, to jest które zmieniają natężenie swego blasku, świecą raz silniej raz słabiej.

Wśród gwiazd zmiennych, które stanowią nieznaczny odsetek normalnych gwiazd, jedne zmieniają natężenie blasku zupełnie regularnie, inne zaś nieperiodycznie. Zmiany natężenia u jednych występują względnie często, u innych zaś — rzadziej.

Uczeni radzieccy postawili tezę, że wybuchy każdej gwiazdy nowej także się powtarzają, że jest [illegible] swego rodzaju gwiazda zmienna, a tylko okresy zmian są bardzo długie.

Istotnie [illegible] lutego 1946 r. astronom-amator, dróżnik kolei transsyberyjskiej Kamieńczuk odkrył nową gwiazdę w konstelacji Północnej Korony. Ta sama gwiazda wybuchła już poprzednio w czasach, w których obserwacje astronomiczne czynione były dość regularnie: w roku [illegible]. Potwierdziło to tezę, że gwiazdy nowe wybuchają wielokrotnie, w mniejszych lub większych okresach czasu. Toteż niektóre nowe gwiazdy wybuchają po kilka razy na stulecie, inne zaś, być [illegible], raz na kilkadziesiąt tysięcy lat.

Jeszcze ważniejszym jest inny wniosek: [illegible] wobec tego gwiazdy nowe stanowią całkiem odmienny, szczególny rodzaj gwiazd i podobne katastrofy im tylko zagrażają.

Słońce nasze jest typem gwiazdy zasadniczo odmiennym od typu



[illegible] nomo. [illegible] klisze fotograficzne z obrazem nieba [illegible] on pod silnym [illegible] wcześniej otrzymanymi, celem wykrycia ewentualnych zmian w mapie nieba.

„białożółtych, gorących gigantów", z którego rekrutują się gwiazdy nowe.

M. Chmielewski

SZCZĘŚLIWE OKO

Inżynier dróg i mostów Samuel Brown ślęczał na ocienionej werandzie nad projektem mostu przez rzekę Tweed. Robota się jednak nie kleiła. Papier leżał przed [illegible] czysty, most się nie udawał.

Zniechęcony Brown odstawił rajzbret i wyszedł do ogrodu. Był koniec lata, srebrne nici płynęły spokojnie po niebieskim niebie, wiatr rozwieszał je po krzakach i roślinach, a inżynier musiał je co chwila zdejmować z twarzy [illegible] jakby zasnuty pajęczyną.

Samuel Brown starannie wybierał miejsce do drzemki aż wreszcie położył się pod jednym z krzaków. Natychmiast jednak zerwał się, prze-



cierając oczy. Oto na niebie zobaczył najwyraźniej precyzyjny rysunek techniczny. Brown mimo woli odczytał go, tak jak inżynierowie zwykle odczytują szkice: srebrnymi liniami na błękicie nakreślono most, zadziwiająco lekki, prosty i śmiały. Silny podmuch wiatru roztrącił gałęzie, ale pajęczyna się nie rozerwała.

Stał [illegible] długo, jak urzeczony. Im bardziej się wpatrywał tym bardziej rosły i grubiały sprężyste nici. I już nie kruche gałęzie rozciągały pajęczynę, niby przędzę na rozstawionych rękach — to szare skały podtrzymywały żelazny most, a ciężkie łańcuchy kołysały się [illegible] wąwozem.

Teraz Brown wiedział, od czego ma [illegible] i ku czemu dążyć.

Ochota do drzemki rozwiała się, znikła. Zasiadł pilnie do rysunku i wyliczeń. Robota paliła mu się w rękach. I wkrótce zadziwił świat wynalazkiem, który objawił zupełnie nowe możliwości konstrukcyjne: zaczął budować tak zwane mosty wiszące, niepotrzebujące drogich i skomplikowanych filarów podtrzymujących most od dołu.

Znowu szczęśliwy przypadek! Pajęczynka na krzaku i — świetny wynalazek!

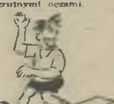
Czemu to mnie tak się nie udało, albo wam! Któż z nas nie widział w życiu pajęczyny! Ale gdybyśmy to my tak leżeli pod krzakiem, obok Samuela Browna, to nic byśmy zapewne w tej pajęczynie nie dostrzegli, choćbyśmy jak najbardziej wytrzeszczali oczy.

Czyli, że nie przypadek tylko. My patrzylibyśmy na pajęczynę zwykłymi oczami, a Brown miał niezwykłe, szczęśliwe oko. Gdy wyszedł do ogrodu jedna myśl zajmowała mu umysł, tyle tylko: „Most, most, most!".

Gdy opanuje człowieka taka pasja twórcza to staje się on jakby jasnowidzem. Każdy drobiazg, każdy nic nie znaczący szczegół oświetla ta pasja nowym, przejmującym blaskiem. Oko chwyta wtedy każdy drobiazg, rozum błyskawicznie ocenia, a wynalazca sam nie wie potem i nie [illegible] w jaki sposób doszedł do tego, do czego dążył.

Zdarza się naprzykład, że człowiek chodzi od domu do stacji po leśnej dróżce, ucząc się na pamięć wiersza i nie widzi, jak ślepy, co się dzieje po obu stronach. Ale wyobraźcie sobie, że ten sam człowiek ma przeprowadzić tą ścieżką oddział wojska i że wiadomo mu, iż droga jest podminowana. W tej chwili bielmo spada mu z oczu, widzi wszystko przenikliwie, dostrzega każdą trawkę, każdą złamaną gałązkę, każdy kamyk pod krzakiem, ważąc z napięciem wszystko, co gotuje mu następny krok. Napewno zauważy ślady zdradzieckich min i szczęśliwie przeprowadzi swój oddział. A gdyby go tak zapytać: jak szedł, dlaczego tak, a nie inaczej — może i nie będzie umiał objaśnić. Chodziło przecież o życie żołnierzy, o służbę ojczyźnie, więc wszystkie jego zmysły miały się na baczności, więc widział, słyszał i czuł w sposób niezwykły.

Tak też było w owej chwili z Brownem: mosty były dla niego rzeczą droższą od życia. Nic dziwnego, że dostrzegał je wszędzie czujnymi oczami.



Malec drepcze po ogrodowej ławce. Ławka — most. Most na dwu podporach. Ruch po moście.

Mrówka pełznie po słomce. Słomka — most.

Drzewa splatają gałęzie nad drogą — zielony most.

Dziewczynki niosą dziecko na splecionych rękach — żywy, chodzący most.

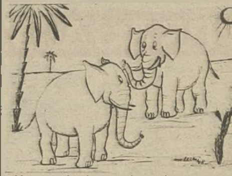
Mosty, mosty, mosty — mosty.

Nic dziwnego, że i w pajęczynie dostrzegł Brown most. Niebywały most, przez nikogo jeszcze nie widziany. Oto, co znaczy szczęśliwe oko szukające, oko płomienne. Oto ono właśnie, szczęście wynalazcy!

Ale jeśli już rozprawiać o szczęściu, to kto wie, w czym więcej szczęścia: czy w tym, że przypadkiem wpadła komuś w oczy pajęczyna, czy w tym, że tak był przejęty swoim dziełem wielki wynalazca.

HUMOR

W RODZINIE



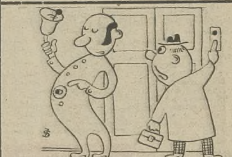
Mam z dzieci pociechę: jedno występuje w cyrku, drugie jest w ogrodzie zoologicznym.

Rys. Modesta



— Panowie! zachowujcie się trochę ciszej... moja żona śpi.

Rys. J. Skonieczny



Proszę tutaj naciskać, bo dzwonek u drzwi jest zepsuty.

Rys. J. Skonieczny



Szczęść Boże!

Rys. J. Skonieczny



Rysunek bez podpisu...

Rys. J. Skonieczny

S. [illegible]

PROSTY SPOSÓB

HUMORESKA SPORTOWA

Po którejś tam z rzędu porażce drużyny „Porszeń", dyrektor fabryki Kubasow zawezwał do siebie trenera Nozdraczewa.

— Znowu? — zapytał tragicznym i złamanym głosem, w którym kryły się wszystkie stracone punkty i goale, jakie ostatnio tuzinami sypały się do bramki jego zespołu.

Trener milczał.

— Jak jeszcze długo będą nas bić wszyscy, komu tylko przyjdzie na to ochota?

— Po prostu na stadion chodzić nie można — odezwał się z kąta starszy technik Mytnik, przysięgły kibic fabrycznego klubu. — Bo i po co! Krzyczysz, denerwujesz się tracąc systematycznie nerwy, niewiadomo w imię czego!

Nozdraczew wzruszył ramionami. Cóż on miał mówić, skoro te porażki bolały nawet takich dyletantów piłkarskich jak Mytnik.

— Słowo honoru, wszyscy śmieją się z was — wykrzyknął technik — słowo honoru!

— Z kogo się śmieją! — oburzył się w tym miejscu trener — z poziomu gry?

— O jakimże poziomie może być mowa — powiedział łagodnie dyrektor — jeśli my systematycznie ponosimy klęskę za klęską.

Nozdraczew zrobił obrażoną minę.

— Wybaczcie, ale kiedyście wszyscy na stadion chodzili przez dziury w płocie moi chłopcy grywali już w pierwszoklasowych zespołach. Zrozumiano? Proszę bardzo, mogę wam zarekomendować wszystkich pokoleń naszych zawodników. Weźmy takiego bramkarza Negina. — Ćwierć wieku w bramce. Urodzony goalkeeper. Wzrost, wzrok, reakcja — zachwycał się trener.

— Negin reaguje, owszem, ale tylko na puszczone piłki — zaśmiał się Mytnik. — Też mi footbalowe cudowne dziecko!

— A czy wiecie młody człowieku, że Negin w 1932 roku w meczu z „Magneto" obronił pod rząd trzy karne?

— Piękna legenda — bąknął Mytnik.

— Nie legenda a fakt. Albo weźmy naszą środkową trójkę braci Patkinów. Czołowi gracze sławni na cały kraj.

— Z czegóż oni sławni? — zainteresował się serdecznie dyrektor.

— No wiecie! A któż w sezonie 1938 roku strzelił [illegible] bramek, po 22 na brata.

— A za to w tym sezonie nie strzelili ani jednej — skonstatował krótko technik.

Trener puścił mimo uszu tę uwagę i z upojeniem ciągnął dalej:

— A Ryndakow, a Pyrlow drugi, a Oczakowski?

— O właśnie — zdumiał się Kubasow — z czegóż na przykład słynny jest Oczakowski.

— A to dobre — zaśmiał się szatańsko Nozdraczew. — A któż w r. 1929 w meczu z „Ryczagiem" przeskoczył przez beka i z piłką na piersi wleciał do bramki? Kto? Oczakowski, tylko on!

— Nie pojmuję — zadumał się dyrektor — dlaczego wciąż przegrywamy mając tak wspaniały skład.

— Cała rzecz w taktyce — stwierdził autorytatywnie Nozdraczew. — I dlatego w nadchodzącym meczu z „Jakolem" postanowiłem naszą dotychczasową taktykę zmienić.

Trener rozglądnął się a upewniwszy się, że w gabinecie niema nikogo niepowołanego ciągnął dalej:

— Ustalmy taką taktykę gry: w pierwszej połowie meczu wzmocnimy skrzydłowymi obronę i ograniczymy się tylko do rzadkich wypadów Patkina młodszego. Natomiast w drugiej wypad za wypadem i strzał za strzałem i „Jako" idzie na dno.

— Narazie my jesteśmy na dnie... turniejowej tabeli — bez żalu upomniał Mytnik.

Trener wstał i sucho pożegnał zebranych.

— Śmieje się ten, kto się śmieje ostatni — i wyszedł silnie trzasnąwszy drzwiami. Mecz z „Jakorem" tylko rozbruździł i tak krwawiące rany „Porsznia". Piłkarski wunderkind Negin musiał tym razem wyciągać trzykrotnie piłkę z siatki, potem uczynił to jeszcze dwa razy. Mytnik pocił się na trybunie i przykładał do rozpalonych skroni tubki lodów, które topniały jak przy dotknięciu z rozżarzonym piecem.

Druga połowa była podobna. Faworyci Nozdraczewa grali fatalnie. Bracia Patkin bezmyślnie snuli się na połowie boiska. Legendarny Oczakowski przeskakujący z piłką na piersi przed dwudziestu laty przez beka, teraz przy każdym podskoku do piłki wywracał się, a jeśli zdarzyło się to na polu karnym, długo tarzał się po trawie imitując faul. Pysłow II napróżno kręcił się za plecami obrońców, by strzelić bramkę z offside'u. Mytnik uciekł pod koniec drugiej połowy ścigany złośliwymi uwagami kolegów.

— I cóż teraz nam powiecie — spytał następnego dnia dyrektor Nozdraczewa.

— Wszystko w porządku — odparł trener — jestem zupełnie zadowolony.

— I ja — odezwał się Mytnik — 7:1, piękny wynik, mogło być o wiele gorzej.

— Jestem zadowolony — powtórzył z naciskiem Nozdraczew. — Mecz pozwolił mi odkryć jeszcze jeden słaby punkt drużyny. Teraz już jasne, że należy Ryndakowa przesunąć do napadu.

— Dlaczego właśnie Ryndakowa? — oburzył się dyrektor.

— On ma zabójczy strzał — odparł trener.

— Jeszcze jedna atrakcja. Człowiek-haubica! — wykrzyknął Mytnik. — To pomoże jak umarłemu kadzidło.

— Nie znacie Ryndakowa — ostro upomniał trener — w 1933 roku on na treningu piłką zabił kozę, która pasła się w dwudziestometrowej odległości od bramki.

— Więc dobrze — przystał wreszcie dyrektor. — Załóżmy, że Ryndakow będzie napastnikiem. I co dalej?

— Dalej już wszystko jasne: bracia Patkin i Prylow II będą mu wystawiać piłki a on wywalczy nam zwycięstwo.

Przeszedł miesiąc.

Footballiści „Porsznia" schodzili wciąż z boiska pokonani. Ani fenomenalny Ryndakow, ani unikaty — bracia Patkin, ani coraz to nowe taktyczne posunięcia trenera nie mogły przynieść upragnionego zwycięstwa.

A mimo wszystko „Porszeń" doczekał się sukcesu. Niezwykłe to zdarzenie przyszło, kiedy drużyna wystąpiła w osłabionym składzie. Mecz wygrali piłkarze nie mający pysznych footbalowych biografii i przebywający dotąd w rezerwie.

Mytnik triumfował.

— Teraz już wiem, w czym leżał błąd — powiedział dyrektor trenerowi.

— A ja nie.

— Rzecz w tym, że bojowy nasz zespół sumarycznie liczy [illegible] lat. To po [illegible] wiosen na gracza.

W odpowiedzi Nozdraczew bąknął coś o zasługach swoich wychowanków i o ich fenomenalnej grze. Ale Kubasow już go nie słyszał.

Teraz już dobrze wiedział, że w starej karecie i na zielonej murawie daleko zajechać nie można.

Fotografowanie nie jest trudne

Uczmy się fotografować 8)

Dobrze nastawić i — zdjęcie się uda

O właśnie! Nastawienie. Magiczne słowo. Nawet najmłodsi adepci fotografiki wiedzą, że aparaty dzielą się na takie, gdzie „nic się nie nastawia" i na inne skomplikowane, gdzie „nastawia się" cały szereg rzeczy.

Dalej, ci sami adepci wiedzą, że zdjęcie się udaje, o ile „wszystko będzie właściwie nastawione". I mają — trzeba im to przyznać — najzupełniejszą, rzetelną rację. Po to człowiek doskonali się w kunszcie fotograficznym, czyta, uczy się, sam próbuje i doświadcza, by — koniec końcem — umieć właściwie nastawić. Zatem to jest właśnie najtrudniejsze. Nastawić. „Czyli trzeba najpierw bardzo dużo czytać (a najpierw od deski do deski tę książkę), potem bardzo dużo napstrykać i doświadczyć, aby umieć nastawiać?" zapytają chórem zawiedzeni czytelnicy.

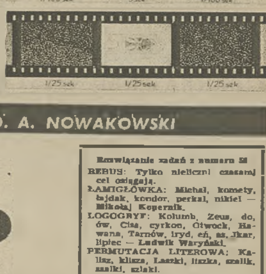
Tak jest. Ale obiecałem znacznie wcześniej, dać przecież jakąś cudowną regułę, która już natychmiast pozwoli dobrze robić zdjęcia, dobrze „nastawiać". Owszem. Obiecałem. I jestem w trakcie dotrzymywania słowa. Bo oto słuchajmy uważnie:

W każdym aparacie (z wyjątkiem tych najtańszych) trzeba, aby uzyskać dobre zdjęcie nastawić 3 rzeczy: ostrość, czas naświetlania i przesłonę. Potem wystarczy tylko nacisnąć spust migawki.

I. Nastawianie na ostrość odbywa się jak wiemy, przez wykręcanie lub wysuwanie obiektywu według pewnej skali z cyframi. Oprócz cyfr normalnych, wskazujących odległość w metrach jest tam także przewrócona ósemka oznaczająca nieskończoność. Jeśli ostatnia cyfra przed nieskończonością wynosi 20, znaczy, że wszystko co jest o 21 o 22 metry od nas jest już nieskończonością.

Nastawianie na ostrość jest najłatwiejsze z trzech omawianych. Wystarczy bezbłędnie ocenić dystans między przedmiotem fotografowanym a obiektywem. Bezbłędnie — nie znaczy jednak co do milimetra. Nikt nie nosi się z linijką, aby nią dokonywać pomiarów przed zdjęciem. Rzadko kiedy byłoby zresztą na to dość czasu. Bezbłędnie — znaczy to: bez większych omyłek, omyłki drobne zostaną wyrównane. Trzeba pamiętać jednak, że omyłka o 1 metr przy odległości 20 metrów nic nie znaczy, przy odległości 5 metrów jest jeszcze niewielką ale przy odległości 3 metrów wpływa bardzo poważnie na zdjęcie. Im mniejszy dystans tym baczniejsza uwaga.

II. Nastawianie czasu naświetlania ma na celu ustalić przeciąg czasu, przez który promienie z zewnątrz przenikać będą przez obiektyw do środka aparatu. (c.d.n.).



ROZRYWKI UMYSŁOWE RED. A. NOWAKOWSKI

ARYTMOGRAF OBRAZKOWY



Należy odgadnąć znaczenia poszczególnych obrazków i wpisać je na miejsce liczb, znajdujących się poniżej. Następnie ułożyć litery według kolejności liczb i odczytać rozwiązanie.

W. Wołyszyńska Warszawa

Rozwiązanie zadań z numeru 58

REBUS: Tylko nieliczni czasami cel osiągają.

ŁAMIGŁÓWKA: Michał, komety, bajdak, kondor, perkal, nikiel — Mikołaj Kopernik.

LOGOGRYF: Kolumb, Zeus, do, ów, Cisa, cyrkon, Otwock, Hawana, Tarnów, iryd, eń, as, Ikar, lipiec — Ludwik Waryński.

PERMUTACJA LITEROWA: Kalisz, klisza, Laszki, liszka, szalik, szalki, szlaki.

Za dobre rozwiązania z nr. 58 nagrody książkowe otrzymują:

1. Małgorzata Bajońska — Grodzisk Wlkp. ul. Więzienna 1.
2. Danuta Bydłowska — Miłosław Wlkp. ul. Wrzesińska 12 m. 1.
3. Leszek Małański — Łódź, ul. 11 listopada 21.
4. Jerzy Szuster — Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Pniewskiego 8, m. 1.
5. Wacław Grochowski — Kielce, ul. Hipoteczna 2, m. 1.

Rozwiązanie zadań z niniejszego numeru nadsyłać należy najpóźniej do dnia 15 czerwca br. pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat Młodych" Warszawa, ul. Grażyny 8 z dopiskiem na kopercie „rozrywki umysłowe".

Za dobre rozwiązanie przynajmniej jednego z tych zadań przyznanych zostanie drogą losowania 5 nagród książkowych.

REDAGUJE: ZESPÓŁ — OPRAC. GRAFICZNE: BARO — WYDAJE: ROBOTN. SPÓŁDZ. WYDAWN. „PRASA"
Adres Redakcji: Warszawa — Mokotów, ul. Grażyny 8. Tel. 4-05-32. Adres administracji: Warszawa, Smolna 13.
Redaktor nacz. przyjmuje w środy i czwartki od g. 11—13. Redakcja czynna codziennie od godz. 10—13.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca. — Prenumerata mies. zł 90 — kwartalna zł 270 — z przes. do domu.
Konto PKO — Warszawa nr I — 1374
Rotograwiura Państw. Pozn. Zakł. Graf. Okr. Północ — Zakł. Gł. — K- 52424



W OBRONIE POKOJU, DEMOKRACJI I KULTURY

W [illegible] z letnich miesięcy br. odbędzie [illegible] we Wrocławiu na Ziemiach Odzyskanych międzynarodowy [illegible] kultury XX w. [illegible] w OBRONIE POKOJU, DEMOKRACJI I KULTURY.

Będzie to wielka manifestacja [illegible] muzyków, malarzy i li[illegible] podżegając do nowej wojny nie liczą się z jej następstwami, a mają na oku tylko interes swoich karteli i trustów.

Najwybitniejsi pracownicy kultury Pablo Neruda, John Steinbeck, Aldous Huxley, John Priestley, Paul Eluard, Louis Aragon, Pablo Picasso, George Duhamel, Michał Szołochow, Ilja Erenburg zapowiedzieli swój udział w tym zjeździe.

Zjazd ten będzie miał jeszcze jedno dla Polski znaczenie, że odbędzie się na Ziemiach Odzyskanych do których [illegible] jeszcze roszczą sobie pretensje różne Schumachery. Krzysztof



Teatr Wojska Polskiego w Łodzi zamyka sezon teatralny szekspirowskim Otellem. Tragedia murzyńskiego generała, w którego szlachetnym i zapalczywym sercu podsyca podstępny wróg szał zazdrości, należy do najczęściej i najchętniej granych sztuk największego pisarza angielskiego. Inscenizacje Szekspira nie są łatwe, gdyż faktura jego sztuk odbiega znacznie od dzisiejszych schematów. Toteż wystawienie Otella daje zwykle szerokie pole do popisu inwencji reżyserskiej. Henryk Szletyński, który reżyserował Otella w Łodzi poszedł po linii tradycjonalnej. Tam, gdzie pewne skreślenia wpłynęłyby, być może, korzystnie na zwartość akcji, pozostawił niepotrzebne dłużyzny, które — szczerze mówiąc — raczej rozpraszają uwagę widza. Wielki sukces osiągnął w roli Otella — Leon Pietraszkiewicz, znakomity Kaliban. Halina Kossobudzka sekundowała mu dzielnie, jako Desdemona. Bardzo staranne i bogate dekoracje dopełniają starannej oprawy sztuki.

plz.

„ŻELAZNA KURTYNA"

Jest to tytuł znakomitej [illegible] kim chyba radiosłuchaczom. [illegible] rozgłośnia łódzka [illegible] nadawanie tej powieści radiowej w [illegible].

Obecnie autorka rozszerzyła i przygotowała do druku swój utwór już w postaci powieści zwykłej, nie radiowej.

O ostatnich [illegible] Sewerynę Broniszówną trzy fragmenty [illegible] kurtyny już w nowej, powieściowej formie. Rzetelny realizm Boguszewskiej święci tu swoje triumfy. Rodzina, pozbawiona ojca, pozostającego pod wpływem kłamliwej propagandy, na emigracji, dająca sobie radę, zakładająca w Warszawie w skromnym mieszkaniu spółdzielnię tkacką, cały szereg kapitalnie narysowanych, psychologicznie pogłębionych postaci z Walerią Jaśtak na czele — to bohaterowie tej powieści — eposu powszednich dni prostych ludzi.

Powieść ta ukazuje się w odcinkach w czasopiśmie „Kobieta".

Rybak

W KRÓTCE NA NASZYCH EKRANACH
„ALEKSANDER NEWSKI"



W 1936 r. — jak gdyby w przeczuciu najazdu hitlerowskiego na kraje słowiańskie niedawno zmarły o światowej sławie reżyser radziecki — Sergiusz Eisenstein przystąpił do nakręcania wielkiego filmu historycznego o najeździe rycerzy teutońskich na Ruś Nowogrodzką.

Film ten jak zwykle u Eisensteina wykonany z niebywałym rozmachem, jest chyba najlepszym w dziejach filmu światowego obrazem średniowiecznej wojny. „Taki film długo się pamięta", zwykli mówić kinomani. Tak przecież na ekranie [illegible] się ci sami hitlerowcy [illegible] znaczonych płaszczach.

Eisenstein uzyskuje [illegible] reżyserii, utalentowanego zespołu, ale również przez to, że zmusza do gry przedmioty martwe: płótno namiotów, topory i łuki wojowników, chmury nad polem lodowym. Nie można też [illegible] na chwilę zapomnieć o grze głównego aktora Mikołaja Czerkasowa w roli księcia Aleksandra.

Ł. Rub.

PREMIERY W WARSZAWSKICH TEATRACH DRAMATYCZNYCH



Teatr Rozmaitości wystawił sztukę historyczną, a właściwie „obrazy historyczne" Tadeusza Łopalewskiego z okresu Powstania Listopadowego „Romans z ojczyzną". Sztuka [illegible] ma specjal[illegible] [illegible]tości formalnych, [illegible] jednak interesująca przez [illegible] odtworzeni[illegible] postaci histo[illegible]h, i właszcza jednego z bohaterów tamtych czasów Maurycego Mochnackiego. Na zdjęciu scena obrazu IV w mieszkaniu ks. Lubeckiego. Od lewej: lokaj — Klemens Roman, deputowany I — Edward Apa, deputowany II — Antoni Krasiński i książę Drucki-Lubecki którego świetnie kreował Władysław Ostoja-Suski. (Fot. R. Burzyński)



[illegible] Rindleya „Pociąg-widmo". Jest to skomplikowana, sensacyjna historyjka, płytka, typowa dla gustów określonej publiczności. Gra akt[illegible] zasługuje na pochwałę. Kapitalny był Kazimierz P[illegible] w roli Teddyego. Reżyser — Zb. Koczanow[illegible], dekoracje — K. Pęczkowskiego. Na zdjęciu [illegible] w roli [illegible]



[illegible] wystawił n[illegible]rasobliw[illegible] k[illegible] Pugeta „Szczęśliwe dni". Francuska komedia ma już to do siebie, że zmusza do śmiechu najsmutniejszego z widzów. Jerzy Tkaczyk w roli Bernarda i [illegible] w roli Oliwiera pobudzali [illegible] do nieumilkniętego śmiechu a sentymentalna Pernett Marii Janickiej [illegible] bezpośredniością. [illegible] wypadł [illegible] Na zdjęciu Mieczysław Piotrowski, Jerzy Michalewicz i Jerzy Tkaczyk.

Na nowo wydany tomik Tadeusza Kubiaka „Słowo pod żaglem"

[illegible]

Jan Galkowski

Jerzy Andrzejewski „POPIÓŁ I DIAMENT"

Jerzy Andrzejewski, [illegible] nia, znany ze swej humanistycznej i głęboko moralnej postawy, pierwszy przełamał [illegible]rowany krąg tematów literackich w Polsce i napisał powieść o współczesności, a właściwie w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Ukazał w niej cały gąszcz sprzeczności i konfliktów, jakie trawiły i trawią jeszcze w znacznym stopniu całe społeczeństwo. Powieść jest ciekawa, ży[illegible]

Andrzejewski pokazuje przekrój społeczeństwa polskiego, tragedię młodzieży przechodzącej [illegible] mieckiej do bratobójczego bandytyzmu, dzieje „zarażonych śmiercią" i hitlerowskim jadem wodzostwa najmłodszych, dzieje przyzwoitego sędziego, który w obozie stał się łotrem i oprawcą współwięźniów.

Andrzejewski w „Popiele i diamencie" odstępuje od psychologicznego malowania postaci. Książka ta jest wybitnym wydarzeniem w powojennej prozie polskiej.

A. Braun

PLOTKI z filharmonii WARSZAWSKIEJ

[illegible] koncert pod [illegible] nur. Beethoven: koncert [illegible] cosławski: wariacje symfoniczne. Czajkowski: Romeo i Julia) posiadał jednak mankamenty, [illegible]

Orkiestra, [illegible] prowadzona przez zdyscyplinowanego dyrygenta tej miary co Mierzejewski, jest jeszcze w dalszym ciągu zupełnie nie zgrana. Uwydatnia się to szczególnie przy wykonywaniu dzieł klasycznych, które wymagają przecież, jak najdalej idącej precyzji.

Niestety, taki jest los wszystkich świeżych zespołów.

Interpretacja Koncertu, przygotowanego zresztą bardzo solidnie, posiadała wszystkie cechy [illegible] „profesorskiej", ale mało walorów prawdziwie artystycznych.

Jot.

KUKUŁKA Z NAD NYSSY



[illegible] szewski pokazali na deskach Teatru Powszechnego w Łodzi miły obrazek sceniczny pt. „Gospoda pod Wesołą Kukułką", osnuty na tle walk II Armii Wojska Polskiego nad Nysą wiosną 1945 roku. Widz polski otrzymał sztukę bez większych może [illegible], ale potrzebną i wartą pokazania. Władysław Hańcza, jako pułkownik Fronczak i Stanisław Łapiński, jako telefonista [illegible], tworzą kreacje niezapomniane.

plż.



— U [illegible]

[illegible]

FELIKS TOPOLSKI



W pierwszych dniach czerwca przyjeżdża do Polski z Londynu wybitny malarz polski Feliks Topolski.

Jakkolwiek Topolski poza granicami kraju bawi od 1935 roku przywitamy przecież przyjazd tego [illegible] malarzy [illegible] wyjechał z kraju przed miesiącem.